

ŚWIAT i ŻYCIE

Ilustrowany dodatek tygodniowy
»DZIENNIKA ZACHODNIEGO«

Nr 1

Katowice, 5 stycznia 1946 roku * Rok 2

Jan Rakoczy

Przechadzka po Londynie

Londyn, w grudniu 1946

ZNISZCZENIA WOJENNE

Gdyby stolice europejskie podzielić według obecnie widocznych jeszcze śladów zniszczeń wojennych, wtedy dla Londynu potrzeba by osobnej zupełnie kategorii. Londyn dziś bowiem nie mieści się ani w kategorii stolic bardzo zniszczonych, jak Warszawa, Berlin, Amsterdam lub choćby Belgrad, ani nie należy do miast, w których nie widać żadnych w ogóle zniszczeń wojennych jak Paryż, Oslo lub Kopenhaga. Londyn niewątpliwie był bardzo zniszczony, ale dziś z tych zniszczeń pozostały tylko blizny. Nigdzie nie widać olbrzymiej metropolii brytyjskiej dziś nie leżą już gruzy. BOS i furmanki warszawskie nie znalazłyby w Londynie absolutnie roboty przy rozbiórce zniszczonych domów i wywożeniu cegieł. Jest to pewnego rodzaju wspaniały rekord, możliwy tylko przy dobrej organizacji i nadzwyczajnej dyscyplinie Anglików. Bowiem przez cały czas wojny, za każdym nalotem, a omal że w czasie nalotów, wywożono gruzy i oczyszczano place po zbombardowanych domach. Z drugiej strony zniszczenia nie dochodziły jednak do takich rozmiarów jak w Warszawie, lub choćby nawet w Berlinie. Dla mnie osobiście np. niespodzianką był fakt, że City, tj. śródmieście Londynu, o którym przecież Niemcy mówili, że jest „ausradiert“, istnieje właściwie w przeszło 75 procentach. Na większej części ulic City nie ma prawie zniszczonych domów, choć snowna na północ od stacji kolejki podziemnej Moorgate widać szereg ogrodzonych placów, których przed wojną nie widziałem. Te ogrodzone placami z drzewa lub cegielni place, to właśnie te „blizny“, bo gdy przechylniesz się przez ogrodzenie, wtedy zauważysz głęboko w dole (wszystkie domy w City mają co najmniej 2 piętra w podziemiach) fundamenty domów, które kiedyś istniały, a które V-1 lub V-2 załamały w gruzy.

Jako widomy znak zniszczeń wojennych największe wrażenie wywarł na mnie miecz w rękę Ryszarda I „Lwie Serce“ — olbrzymim pomniku przed Parlamentem angielskim. Miecz ten bowiem jest dziwnie wykrecony na skutek strzału z karabinu maszynowego samolotu niemieckiego. I lubiący tak niesłychanie porządek Anglii, doład jakoś nie zabrał się do tego miecza, wzgl. może chcą go na wieczną pamiątkę 2-giej wojny światowej zostawić w tej pozycji.

Najbardziej ucierpiał stary Londyn, Eastcheap i okolica Toweru. „Stara Pani z Threadneedle-Street“, jak nazywany jest tu budynek Banku „of England“ znajduje się w niezniszczonym stanie. Na słynnej Oxford Street ledwo kilka budynków na całej długości ulicy zniszczonych. Na Regent Street, Piccadilly, Whitehall, etc. w ogóle nie ma żadnych zniszczeń.

... I ZNISZCZENIA MORALNE

I tych właściwie nie ma, jeśli upadek moralności w Londynie porównać z upadkiem moralności w innych stolicach europejskich. W dalszym ciągu na ulicach widzi się, przeważnie przed stajkami kolejki podziemnej, stopy gazet, których nikt nie pilnuje, a z których przechodzień bierze gazetę i kładzie obok 1 penny. Tych monet jednopensowych nieraz nabiera się pokazana ilość, ale nikt ich nie zabiera i prawie w ogóle się nie zdarza, aby ktoś wziął gazetę nie zapłaciwszy.

Czarny rynek i czarny handel naturalnie istnieje. Uprawiany jednak jest w 99,9 proc. przez cudzoziemców, (głównie przez emigrantów — Żydów, i niestety Polaków). Punkty materiałowe (tekstylia i materiały są racjonowane) nabyć można u Polaka w dowolnej ilości po 2/6 szylingów za punkt. Żaden Anglik nie odważyłby się kupić punktu lub, broń Boże, handlować punktami.

Wojna nie zmieniła Londyńczyków z ich przysłowiową dyscypliną i uprzej-

mością. W Paryżu np. taksówkę na dworcu złapie ten, kto szybszy i kto prędzej doleci do nadjeżdżającej taksówki. W Londynie na każdym dworcu przed wejściem jest tabliczka „Queue here for taxi“ — „Tu jest ogonek dla taksówek“. I każdy poszukujący taksówki spokojnie ustawia się w kolejkę

BBC, musiał do odczytania wiadomości o godz. 21 zjawić się przed mikrofonem w takim właśnie „dinner jacket“. W czasie wojny zaniechano tego zwyczaju, o którym nikt nie wie, kto go wprowadził. Po wojnie już do niego nie powrócono.

Za to w dalszym ciągu „hornblower“, trębacz, co wieczór o 6.30 wygrywa (podobnie jak nasz hejnał z wieży Mariackiej) kilka tonów na trąbie na wszystkie strony świata w różnych podwórzach olbrzymiego kompleksu The Temple. The Temple — to szereg budynków na Embankment i Fleetstreet, który w 13 wieku należał do zakonu rycerzy krzyżowych. Tym trąbieniem w owym czasie przywoływano waleśających się po placach i niewiadomo jeszcze gdzie, rycerzy do stołu. Mimo, iż The Temple już od setek lat przeszedł w ręce władz świeckich (obecnie The Temple należy do londyńskiego świata prawniczego), zwyczaj ten do dziś dnia uchował się i jest skrupulatnie codziennie przestrzegany.

Tak jak 120 lat temu, tak i dziś na Farrington Street, niedaleko słynnej Fleet Street, w dalszym ciągu kupić można w sklepie, znajdującym się na tym samym miejscu już w r. 1820, „najlepsze zioła świata“. Nie wierzyłem opowiadaniu pewnego Anglika i sam dopiero musiałem pójść przekonać się, że rzeczywiście kupić tam można zioła o takiej nazwie jak „Mysie uszko“ (Mouse-ear), na kaszel, lub „Pantofelek Pani“ (Lady's slipper), na uspokojenie nerwów, „Archanioł“, „Gorzko-słodkie“ (Bitter-sweet) i in.

A na jednym z najruchliwszych punktów Londynu, na rogu Haymarket i Piccadilly Circus, można i dziś, tak jak za czasów królowej Wiktorii, nabyć 17 różnych gatunków... tabaki „do niuchania“, która w Londynie jest niespodziewanie często używana. Sklep ten dostarczał niejednej przytabaki Napoleonowi. Przez pewien czas nawet dostarczał tabaki Papieżom do Rzymu, nie mówiąc już o tym, że był dostaw-



Londyn 1946 — most Tower.

(Serwis fotograficzny Associated Press dla „Dziennika Zachodniego“)

i nikt nie odważyłby się dobić się o taxi poza kolejką; ani też żaden szofer nie zabrałby pasażera z innego miejsca, niż spod tabliczki.

A w tak zwanych „rush-hours“, tj. przy zamknięciu biur i sklepów, tak jak przed wojną setki tysięcy(!) urzędników, urzędników i szefów pędzi do „tube“, tj. do kolejki podziemnej. Starannie jednak każdy unika popychania wzajemnego, nikt się nie kłóci, przeciwnie, gdy przypadkowo ktoś komuś nadepnie na odcisk, wtedy oboje wzajemnie się przeproszają. Taka już jest angielska uprzejmość która i przez czas wojny się nie zmieniła.

WYGLĄD ULIC

Wojna i życia Londynu nie zmieniła. W dalszym ciągu na ulicach szalony ruch. Dwupiętrowe, czerwone autobusy (istnieje przeszło 600 linii w samym Londynie) posuwają się czwórkami po Oxford Street lub Strand, najruchliwszymi ulicami miasta. Setki samochodów prywatnych i taksówek śmigają między nimi. W godzinach między 12 i 17 trudno tymi ulicami jeździć lub chodzić. Można posuwać się tylko bardzo wolno. Największy dom towarowy w Anglii, Selfridge na Oxford Street, ma już dekoracje świąteczne. Na całym olbrzymim kompleksie budynków setki choinek. Wystawy świąteczne. Ceny też! 1 żołnierz ołowiany 1 szyling tj. zł 20.— po kursie urzędowym, a zł 120 po kursie „lewym“. Wspaniałe futra (karakuly 500 funtów, tj. zł 200.000 wzgl. zł 1.800.000). „Prawdziwe“ angielskie materiały po 3 funty za metr (plus punkty), para butów 3—5 funtów. Leica IIIc — 110 funtów, krawat 10 szylingów (około 1.200 zł), etc. etc.

Ludzi źle ubranych nie widać wcale. Zwiększyła się natomiast liczba żebrzących „dyskretnym“ sposobem, tj. sprzedawców zapalek na ulicy, grzebieni etc.

Angielki przez okres wojny niesłychanie wyładniały, wydelikatniały i stanowczo nabrały sztyku. Powiedzenie, że ich cera to „cream and peaches“, t. zn. przypomina kolor kremu i brzoskwiń, nie jest wcale przesadzone.

TRADYCJA

W dalszym ciągu tradycja jest wszędzie możliwa. Panowie do obiadu muszą się już przebierać w „dinner jacket“ — smoking, biała, sztywna koszula, etc. A panie w „wielką toaletę“. Tak samo do teatru. Choć w jednym wypadku tradycji nie uszanowano. Przed wojną bowiem speaker radia brytyjskiego,



Wspaniały, 14-to piętrowy budynek mieszkalny (na każdym piętrze tego gmachu mieszkają cztery rodziny), w przemysłowym mieście brazylijskim Sao Paulo. Taki gmach jest na pewno marzeniem wszystkich bezdomnych zniszczonej wojną Europy.

ca licznych ukoronowanych głów Anglii.

Wydawało by się iż w tak zmechanizowanym mieście jak Londyn, ulice oświetlone są wszędzie elektrycznością. Nic podobnego. Whitehall, Regent Street, Piccadilly, Pall Mall, Victoria Street i in. bardzo znane i duże ulice Londynu, oświetlone są... gazem. — I dziś jeszcze Londyn zatrudnia przeszło 400 latarników, zajętych wieczornym przeliczaniem rączki przy latarniach gazowych dla oświetlenia ulic.

WARUNKI ŻYCIOWE

Najważniejsze artykuły spożywcze są wciąż jeszcze w Anglii racjonowane. Angielski system kartkowy jest chyba najbardziej skomplikowany, ale zdaje się też najbardziej sprawiedliwy na świecie. Nikt z moich znajomych nie mógł mi udzielić dokładnych informacji o tym, co i ile otrzymuje osoba na kartki. Nie mogli tego też uczynić sklepikarze. Nawet w Food Office, Urzędzie Aprowizacyjnym, musiano mnie dopiero zaprowadzić do szefa Urzędu, który mógł mnie dokładnie poinformować.

Otóż środki żywnościowe w Anglii przydzielane są na podstawie t. zw. unitów (U) — jednostek. Na 1 mały chleb (453 g) potrzeba 2 jednostki. Na duży 4 U. Dorosła osoba otrzymuje na tydzień 9 jednostek, czyli 4 i pół chleba. Chleba jest więc dostatecznie dużo i przeciętnie, 3-osobowa rodzina otrzymuje dość chleba z 2 kartek. Zaoszczędzone w ten sposób jednostki chlebowe zamienić można na innego rodzaju unity. (Np. puszka sardynek wymaga 2 U). Bochenek małego chleba kosztuje 3 pensy, tj. około zł 30.— po „lewym“ i zł 1.50 po normalnym kursie. Mięso przydzielane jest nie na unity, ale z górną granicą wartościową. W ciągu 1 tygodnia np. można wykupić dla 1 osoby mięsa za 1 szylinga i 4 pensy, przy czym ten, który reflektuje na lepszy gatunek, otrzymuje go mniej, a ten,



„Hornblower“ gra swój „hejnał Mariacki“.



Londyński latarnik przy pracy

który kupuje mięso gorszej jakości, otrzymuje go więcej. 1 funt (angielski — 453 gramów) kosztuje 11 pensów. Tłuszcz otrzymuje się stosunkowo mało bo tylko 6 uncji, tj. około 170 gramów na tydzień. Do tego dochodzi jednak 60 gramów sera i 90 gramów szynki na tydzień. Mleko otrzymuje się „2 pints a week”, tj. 1,136 litra na tydzień (dzieci odpowiednio więcej). Przydział cukru jest mały i wynosi tylko 225 gramów na tydzień, jamu również 225 gramów na tydzień. Na cukierki, suszone owoce, figi, czekolady etc. otrzymuje się także pewną ilość punktów. 3 duże kawałki mydła toaletowego na miesiąc, albo 3 kawałki mydła do prania, albo 6 paczek proszku do prania musi starczyć. Przydział jajek następuje w miarę dostaw, kartofle, ryby, jarzyny etc. są wolne od punktów.

Na jedzenie w restauracjach nie potrzeba kartek żywnościowych. Ponieważ „groś” pracowników jada obiad w pobliżu swego miejsca pracy (za daleko na jazdę do domu), dlatego kartkowe przydziały, żywnościowe są zupełnie wystarczające.

Angielski „fair play” jest tak daleko posunięty, że uważa się, iż nie można nadużywać przywileju stolowania się w restauracji bez dostarczenia kartek żywnościowych. Jeśli więc nie znający tego przepisu lub po prostu „ziarłok” zechce sobie powtórzyć odpowiadające mu danie w restauracji, wtedy wprawdzie usiłującej lub usługującej przyzwoicie „repete”, ale tak ona, jak i całe w ogóle towarzystwo angielskie na sali będzie bardzo zgorzzone. Gdy będąc na śniadaniu u Lyonsa, (popularne restauracje Londynu), gdzie trzeba sobie samemu nakładać na tacę żądany chleb lub ciastko, nałożyłem — będąc przyzwyczajony do „zdrowego” śniadania, — po 2 kawałki chleba i 2 ciastka oraz 3 masła, i posunąłem się ze swoją tacą do kasy dla zapłacenia należności, wtedy kasjerka najzwyczajniej zjadła mi 1 kawałek chleba, 2 kawałki ciastka i 2 masła, ponieważ przyjechałem z wyjątkiem normą przewidzianą tylko 1 kawałek chleba i 1 masło na śniadanie. Oczywiście poznać można było we mnie od razu cudzoziemca, nie orientującego się w tamtejszych zwyczajach. Cena obiadów we wszystkich restauracjach ograniczona jest do 5 szylingów za menu. W lepszych restauracjach jednak, jak np. u Simpsona, do tej ceny dolicza się dodatkowo opłaty za dodatkowe usługi, np. kieliszek wina, etc., tak, że obiad wypada tam w granicach od 1 funta i więcej, tj. około 200 do 400 po kursie urzędowym, a z 2.500 po kursie „lewym”. Obiad taki jest wprawdzie starannie przygotowany i bardzo uprzejmie podawany, ale nawet się nie „umyl” do obiadu, jaki za taką cenę można dostać w Polsce.

Materiały tekstylne, ubrania, koszule, buty, etc., to wszystko również na t. zw. punkty. Punktów tych otrzymuje się jednak tyle, iż co roku można kupić po 1 garniturze, 1 parze butów, 2 koszule, etc.

ZAROBKI

Przeciętny zarobek robotnika i urzędnika wynosi od 25—40 funtów miesięcznie. Kwota ta zapewnia mu wcale przyzwoite minimum egzystencji. Za nią, po zaplaceniu czynszu (około 10 funtów na miesiąc — wydatek największy), wykupić może wszystkie przydziały żywnościowe, materiały itp. i mieć jeszcze małą sumę na rozrywki kulturalne, jak kino lub teatr.

Ciekawym podaje, że żołd żołnierza polskiego w Anglii wynosi 3 funty miesięcznie, porucznika około 20 funtów miesięcznie, a generała około 5 funtów dziennie. Szeregowiec i porucznik mają ponadto jedzenie i umundurowanie całkowicie darmo, generał częściowo. 20 funtów, a tym bardziej już 3 funty na miesiąc, to rozpią się w Londynie w oka mgnieniu. Co bardziej szanujący się Polak nie „handluje na lewo”, gdyż stawia się tym samym automatycznie poza nawiasem społeczeństwa uczciwego. Trudno więc jest z tej kwoty robić duże oszczędności i wysyłać do kraju „co najmniej” 10 funtów miesięcznie. Za wyjątkiem oczywiście generała.

POLACY

Londyn, metropolia Imperium Brytyjskiego, największa stolica Europy, mimo dużej ilości cudzoziemców tam zamieszkających, jest jednak nie miastem międzynarodowym, a miastem par excellence angielskim. Ta specyficzna atmosfera angielska, ten „right or wrong, my country”, to nieme pytanie „are you British”, wciąż i zawsze czuje się w powietrzu. Polacy w tej atmosferze czują się ani specjalnie złą, ani specjalnie dobrą opinią. Są po prostu cudzoziemcami, „bloody foreigners”, parszywymi cudzoziemcami. A gdy maska uprzejmości opadnie, wtedy otrzymujemy specjalny epitet — „bloody Poles”. Polaków zresztą w Londynie jest masa. Formalna inwazja. W każdym autobusie, w każdym wagonie kolejki podziemnej, w kinie, lub na ulicy — wszędzie widać albo żołnierzy polskich z orzełkami polskimi na czapce, albo słyszy się język polski. Sądząc o osobistych przeżyciach, ustosunkowanie się Anglików do Polaków można by ująć w 3 reguły: 1) są bardzo uprzejmi w osobistym, prywatnym zetknięciu się z Polakiem, ale nie uważają go za równego sobie, 2) są bardzo serdeczni, gdy poznają Polaka bliżej i żyli się z nim,

wskutek czego następuje pewne wyrównanie wartości, a 3) są bardzo nieufni przy wszelkich urzędowych okazjach. Dawniejsi znajomi przyjęli mnie bardzo serdecznie, inni byli dla mnie b. uprzejmi, a władze np. na lotnisku Northolt, dokąd przyleciałem z Paryża, badali mnie przeszło godzinę: dokąd, po co, na co, dlaczego, gdzie przebywałem ostatnią noc, gdzie przedostat-

nią etc., choć celnicy okazali się b. uprzejmymi, nie zaglądając nawet do walizki.

Innym przydomkiem, którym nas się w Londynie obdarza, to „potato-faces” — gęby kartoflane. Rzekomo nazywają nas tak dlatego, ponieważ twarze Polaków, w porównaniu z rasowymi, pociągłymi twarzami Anglików, są bardziej rozlane. Odnosnie prezencji

Polaków w Londynie muszą jednak powiedzieć, że nasi chłopcy — bo mimo wszystko są to przecież „nasi chłopcy” — reprezentują się tam bez wyjątku wspaniale, Postawa, maniery, czystość — to zjednało im sympatię głównie... Angielki.

Na Knightsbridge istnieje klub polski White Eagle — Biały Orzeł, gdzie co czwartek i piątek odbywają się wy-

stępy artystów polskich. W mieście istnieje około 6—7 polskich restauracji, gdzie można zjeść lepiej niż w angielskich, ale za to też znacznie drożej. W Londynie istnieją 3 kościoły polskie, a ze szkół zanotowałem Szkołę Handlu Zagranicznego i Administracji Portowej przy Earls Court Square, oraz Szkołę Morską przy tej samej ulicy.

Jan Rakoczy

Zdobywcy nieznanych przestrzeni

Co znajduje się na wysokości 2 tysięcy metrów nad powierzchnią ziemi i 6.500 m w głębi oceanów?

Na powyższe pytania starają się udzielić odpowiedzi, wyruszając w podróże do nieznanych dotąd, otoczonych gęstą mgłą tajemniczych terenów, bracia Piccardowie.

Bracia Piccardowie — sławna już ze swych podróży stratosferycznych para uczonych — zamierzają podjąć nowe, rekordowe podróże w nie zbadane jeszcze przestrzenie. Tym razem jeden z nich pragnie zbadać tajemnicze przestrzenie, drugi zaś — rozwiązać zagadkę nie osiągniętych dotychczas głębin morskich. Obydwaj postanowili pojsć dalej, niż kiedykolwiek udało się to w tego rodzaju przedsięwzięciach. Jean Piccard, podobnie jak jego małżonka, spodziewa się osiągnąć w gondoli, którą ciągną sto balonów, wysokość 32 tys. metrów nad ziemią. Eksperyment ten ma być przeprowadzony w czerwcu przyszłego roku. Augustyn Piccard, pierwszy badacz stratosfery, ma zamiar zanurzyć się w celach naukowych na głębokość 6.500 metrów, a więc osiągnąć o 5.600 metrów większą głębokość, niż uczyniono to dotychczas. Trzeba przy tym zaznaczyć, że już na 165 metrze znajduje się granica niebezpieczeństwa dla zanurzających się w morzu łodzi podwodnych.

Pierwsza próba A. Piccarda wyznaczona została na luty przyszłego roku w Zatoce Gwinejskiej, przy zachodnim brzegu Afryki. Uczony zamierza pozostać na tej głębokości przez 12 godzin, przy zaopatrzeniu w ilość tlenu mogącą starczyć na 24 godziny.

Podróże takie nie stanowią bynajmniej dla braci Piccardów nowości, są oni bowiem pionierami i ekspertami w dziedzinie operowania w sferach o różnych ciśnieniach. Owe epokowe przedsięwzięcia zapoczątkował Augustyn, projektujący obecnie przyrządy fizyczne dla jednego z towarzyszy w rodzinnej Szwajcarii. Będąc jeszcze nauczycielem w Belgii postanowił zbadać stratosferę — tę przestrzeń, gdzie nigdy dotąd człowieka nie było, a śmiertelne promienie mogą, w wypadku braku tlenu, pozbawić życia. W tym celu wynalazł specjalny hermetycznie zamknięty balon stratosferyczny. Mimo, że ma żonę i czworo dzieci, odważył się na tego rodzaju wysoce niebezpieczną eskapadę w nieznaną, i w roku 1931 wystartował z Augsburga w Niemczech, wznosząc się na wysokość 15.500 metrów, aby po 18-godzinnej „przejażdżce w przestworzach” wylądować na jednym z lodowców austriackich. W następnym roku wystartował z własnej ojczyzny, Szwajcarii, osiągając wysokość 16.000 metrów. Wówczas stwierdził po raz pierwszy istnienie tajemniczych promieni kosmicznych, bombardujących ziemię w formie podobnych do małych kulek molekuł, analogicznych w pewnym stopniu do bomby atomowej. Później wielki uczoney wyjechał do Stanów Zjednoczonych z prelekcjami na temat osiągniętych przez siebie wyników badań stratosferycznych. Udało mu się wówczas pozyskać dla nich swego brata, Jeana, ówczesnego profesora chemii, który obecnie wykłada aeronautykę na uniwersytecie stanu Minnesota i posiada obywatelstwo amerykańskie.

Jean Piccard podjął pierwszą próbę lotu w roku 1934, startując z lotniska Henryka Forda w Dearborn, stanu Michigan. Zona jego, Bryn Mawr — Piccard, zdobyła najlepszy wynik obok Augusta, osiągając wysokość 17.500 metrów. Zyskała ona wielką sławę, jako pierwsza na świecie kobieta w nie liczonej grupie badaczy stratosfery. Trzeba bowiem wiedzieć, że ogółem tylko 15 osób wybrało się w podróż w te bezpowietrzne tereny. Czterej z tej piątki, w tym trzech Rosjan i 1 Niemiec, zginęli. Pani Piccard, matka trzech synów, uważa, że kierowanie balonem stratosferycznym nie jest bardziej niebezpieczne, niż jazda na skrzyżowaniu ulic.

Realizacja obecnych projektów obu badaczy nastrocza wiele trudności, nie tylko przy opracowywaniu szczegółowych metod, ale i przy pokonaniu groźnego im niebezpieczeństwa. Przypatrzmy się bliżej stu napełnionym gazem balonom, do których będzie przymocowana gondola zbudowana z aluminium, ze względu na lekkość tego metalu i wytrzymałość na silne ciśnienia zewnętrzne w przestrzeni, gdzie jest bardzo mało powietrza. Gondola jest zaopatrzona w podwójne okna, posiada okrągłe drzwi oraz specjalny przyrząd do regulowania wewnętrznego ciśnienia.

Jeśli chodzi o aparaturę, przy pomocy której Augustyn zanurzy się na głębokość 6.500 metrów pod powierzchnią morza, to zamknięta ona będzie w małej izdebce, zawierającej pewną ilość powietrza, narażonej jednak na olbrzymie ciśnienie wody. Ponieważ przedmioty kuliste wytrzymują większe ciśnienie niż przedmioty o innym kształcie, wobec tego Augustyn przygotowuje stalową kulę, wyposażoną w przyrząd regulujący wewnętrzne ciśnienie, zaopatrzoną w okna i nie dopuszczającą wody. Przy zanurzeniu się będzie on musiał przekroczyć strefę niebezpieczeństwa dla zanurzających się łodzi podwodnych, oraz tzw. linię Williama Beebe'a.

Nie będzie miał kabla ani potężnych silników, w które zaopatrzone są łodzi podwodne. Jedynie zaopatrzone, podobnie jak łodzi podwodne, w przyrządy podsłuchowe, specjalny okręt, którego załoga dokładnie śledzić będzie doświadczenie, zakotwiczone zostanie w pobliżu. Przywiązany do stalowej kuli z cięższym od wody żelazem i lepszą gazoliną zanurzy się Piccard w otchłanie morskie. Stalowa kula ma być zawieszona pod wodą, wzniesienie się jej i opadanie będzie uzależnione od tego, czy eksperymentator wyrzuci ga-

zolinę lub żelazo. Gazolina znajduje się w hermetycznie zamkniętych workach. W wypadku, gdy Piccard napotka niebezpieczeństwo ze strony zwierząt morskich, wówczas wyrzuci kilka kawałków żelaza, podnosząc się w ten sposób szybko w górę. Gdy natomiast nie będzie widział żadnych przeszkód, wówczas wyleje nieco gazoliny, zanurzając się głębiej w morze. Gdy zapas balastu będzie na wyczerpaniu, uczony wyrzuci bezzwłocznie na powierzchnię morza.

Obaj bracia nie wyglądają wcale na odważnych awanturników, ale mimo 62 lat wieku czują się doskonale i z niezwykłą energią dokonują prac badawczych. Na uwagę zasługuje fakt, że Jean posługuje się w pracy prawą ręką, podczas gdy Augustyn wyłącznie lewą.

Aby najlepiej przedstawić Jeana Piccarda i jego żonę, która z zamiłowaniem oddaje się pracy badawczej, należy naszkicować przygotowania i samą podróż do stratosfery. Gdy warunki atmosferyczne sprzyjają, wówczas załoga ładowa na lotnisku uniwersytetu Minnesota przystępuje w świetle licznych reflektorów do pracy. Wyciąga się czarno-białą gondolę i sto balonów, które ją otaczają. Równocześnie rozdziela się zapasy wodoru i zaczyna napełnianie poszczególnych balonów. Każdy z nich o średnicy 18 m może mieć po napełnieniu 3 miliony cm³ objętości. W chwili startu tylko 1 i pół procent objętości balonu jest napełniony gazem. Podczas napełniania poszczególnych balonów przeprowadza się ścisłą kontrolę worków z piaskiem stanowiących konieczny balast. Każdy worek jest ściśle kontrolowany, jak również kontakt

elektryczny, przy pomocy którego w odpowiednim momencie znajdujący się w kabine eksperymentatorzy wyrzucają część balastu. Wreszcie na dany rozkaz balony zatacają olbrzymi łuk na wysokości 210 m nad gondolą, która jest doskonale przymocowana do nich i wkrótce załoga wyrusza w przestworza. Na wysokości 600 m zamyka się drzwi, specjalnie zbudowane w celu regulowania ciśnienia. Wreszcie zaczyna się przygotowanie do badań. Pani Piccard utrzymuje kontakt z ziemią za pośrednictwem aparatu krótkofalowego. Oboje zaczynają gorliwie notować spostrzeżenia i kontrolować posiadane przyrządy naukowe. Z uwagi na różnicę w działaniu poszczególnych przyrządów w zależności od odpowiedniego ciśnienia, przedmioty te według dokładnego obmyślanego planu przeznaczają się do użytku tylko w naukowym laboratorium.

Tymczasem temperatura na zewnątrz gondoli stale się zmienia. Zwykle obniża się o 1 stopień na każdej o 90 m większej wysokości. Kolor nieba zmienia się również w zależności od wzniesienia. Na wysokości 7.500 m niebo staje się ciemno-niebieskie, a przy wysokości 10.500 m zauważa się kolor jeszcze ciemniejszy i im bardziej się wznosimy, tym ciemniejszy się wydaje. Przyczyną tego zjawiska jest zmieniająca się długość fal świetlnych. Przekraczając wysokość 15.600 m, osiągnęli Piccardowie wysokość Augustyna, który do niej dobił w czasie swej pierwszej podróży stratosferycznej. Osiągając wysokość 16.200 m, zdobyto przestrzeń spenetrowaną podczas drugiej podróży Augustyna. Na wysokości 17.400 m Jean uśmiecha się do swej żony, wskazując na wysokościomierz. Głęboko zadowolony próbują przekroczyć wysokość osiągniętą w poprzedniej podróży. Próba znakomicie się udaje i państwo Piccardowie przekraczają wkrótce wysokość 18.371 m., do której doszła grupa Commander Settle U. S. N. Ponadto biją rekordy dwóch Rosjan, którzy osiągnęli 18.697 m. i 20.252 m., nie powrócili żywi. W końcu Piccardowie sięgają rekordu Stevensa i Andersona, tj. 21.718 m. Wreszcie sytuacja zmusza eksperymentatorów do zrzucenia jednego worka z piaskiem, a następnie drugiego. W ten sposób balony nabierają większej szybkości.

Niebo jest bardzo ciemne, a nawet zupełnie czarne. Popatrzywszy w dół, w kierunku ziemi, widać jaśniejszą przestrzeń, ale nie można rozróżnić poszczególnych miejsc na ziemi. Widzi się jedynie kilka największych rzek i jezior. Obecnie Piccardowie rozpoczynają badania promieni kosmicznych. Trzeba podkreślić, że dotychczas nie zajmowano się jeszcze badaniem tych promieni na wysokości 21.900 m. (To jest właśnie pierwszy powód, dla którego Piccardowie projektują nową podróż stratosferyczną na przyszłą wiosnę). Trzeba podkreślić, że promienie kosmiczne odgrywają niezwykle ważną rolę w ogólnej walce o wydobycie jak największej i najlepszej ilości energii atomowej. Nie można ich wyprodukować.

(Ciąg dalszy na stronie 3)



Na wysokości 32 tys. metrów nad powierzchnią ziemi, równocześnie słońce i gwiazdy świecą na dziwnie czarnym tle nieba. Spoglądając w dół widać jaśniejsze przestrzenie. Oto dokładny pod względem naukowym rysunek dziwnych i niezbadanych dotychczas przestrzeni nad i pod powierzchnią ziemi. W związku z mającymi się odbyć podróżami stratosferycznymi Piccardów, spodziewać się należy, że wiele tajemnic wszechświata, z energią atomową włącznie, zostanie odsłoniętych.

1. Jean Piccard pragnie podjąć próbę osiągnięcia wysokości 30.000 km.
2. Rekord ustanowiony przez Stevensa i Andersona w roku 1935 wynosi 21.718 m.
3. Jan Piccard dochodził w roku 1934 do wysokości 17.273 m.
4. Augustyn Piccard w roku 1932 sięga 15.945 m.
5. Augustyn Piccard w roku 1931 zdobył wysokość 15.437 m.
6. Początek stratosfery na wysokości 11.100 m.
7. Najwyższy szczyt górski na świecie, Everest, posiada wysokość 8.742 m.
8. Poziom morza.
9. Granica zanurzenia się łodzi podwodnej — 165 m.
10. Sfera Beebe'a sięga głębokości 965 m.
11. Najgłębsza, położona w południowej Afryce, kopalnia, ma głębokość 2550 m.
12. Augustyn Piccard podejmie próbę podróży w otchłanie morskie do głębokości 6.600 m.

K. Ryliński i W. Brejter

Kłodzko

Stylowe kamieniczki z XVI wieku o dwu i trzykondygnacyjnych frontach, niskie a rozłożyste sklepienia krużganków, półmrok uliczek wąskich i zaułków — oto miasto, co w powodzi płynącego czasu jak wyspa się ostało i trwa do dzień dzisiejszy, stare, legendą wieków owiane, a piękne i w szczytów swej dostojne, u granic Rzeczypospolitej dumnie stojące Kłodzko.

Tak, wiadomości historyczne mamy o Kłodzku i to dość obfite. Kronikarz czeski Cosmas podaje, że w roku 981

W r. 1033 prześladowcy jakiegoś znakomitego zbiega, który schronił się w Kłodzku, podpalają gród z 5 stron, tak, że pozostają zeń tylko zgłiszczka, po czym zostaje odbudowane, a około roku 1075 dostaje się Władysławowi Hermanowi w posagu jego żony, księżniczki czeskiej Judyty.

Władysław Herman przekazuje Kłodzko w r. 1093 swemu synowi, Bolesławowi Krzywoustemu, a około r. 1100 gród otoczony zostaje murami i odtąd staje się twierdzą.

panowanie Fryderyka II, króla pruskiego, a w 2 lata potem oblegają je bezskutecznie wojska austriackie, ponawiając swój atak, tym razem skuteczny, w r. 1760, jednak już w trzy lata potem Kłodzko przypada na mocy pokoju Prusom i pozostaje już ostatecznie pod ich panowaniem.

W r. 1761 oglądają miasto po raz drugi wojska rosyjskie, wysłane przez carową Elżbietę na pomoc Austrii, a w r. 1807 oblegają je Francuzi.

W latach 1813, 1815 i 1818 znowu przechodziły tędy wojska rosyjskie, od tego zaś czasu nastąpiły długie lata pokoju. W r. 1877 zostają zniszczone mury obronne, dzięki czemu Kłodzko zaczyna się rozbudowywać i przybiera w nowopowstałych dzielnicach charakter już współczesny.

W r. 1945 wreszcie, zupełnie niekniecie przez wojnę miasto, zdobywają zwycięskie wojska radzieckie i polskie, a w kwietniu tegoż roku władze polskie obejmują administrację.

Niezliczoną ilość razy, jak widzimy, przechodziła ta pograniczna ziemia wraz ze swoim grodem z jednych rąk do drugich i różne przeszła panowania, lecz to nie jest ważne, o przynależności bowiem danego obszaru nie decyduje to, kto nim władał, lecz jaka była jego ludność.

Rzecz oczywista — powie nie jeden Polak — że ziemię tę kiedyś były polskie i Polacy je zamieszkiwali, ale bardzo dawno już temu, kiedyś tam za Piastów, a potem przyszli Niemcy i odtąd Polaków już tu nie było.

Jako odpowiedź na to niechaj posłuży przytoczony niżej dosłowny odpis znajdującego się w archiwach miasta Kłodzka oryginału pisma, wydanego drukiem przez władze niemieckie w języku polskim w r. 1765.

PRZESTROGA

względem dzieciobójstwa i zatajenia brzemienności albo pologu chrześcijańskiemu zgromadzeniu tymże się przypomina, iż na białogłowy, które bez małżeństwa brzemienności się stały, a brzemienność swą albo pológ zamilczą, dziecię zaniedbują albo jakimkolwiek sposobem je obciążą; także na tego, który nierząd pełni, na rodziców i Państwa lub gospodarzów, u których takowe osoby służą, a którzy w takowym przypadku powinności swoich zaniedbują, ciężka kara w krajowych Ustawach jest naznaczona. Każdy się tego z drukowanej Publikacji, która się znajdzie, lepiej dowiedzieć może, a żeby to uczynił, ostro napominany bywa, gdyż nikomu, przestąpiwszy tę Ustawę, wymówka o niewiedomości jego nic nie pomoże.

A teraz drugi dokument z r. 1804, którego drukowany po polsku oryginał również znajduje się w zbiorach miasta Kłodzka.

INSTRUKCJA

dla
Sołtysów Wiejskich

w

Szląsku i Hrabstwie Głackim

Dan w Berlinie dnia 18 Maja Roku 1804

w Wrocławiu

w drukarni Wilhelma Bogumiła Korna

„My Fryderyk Wilhelm z Bożej Łaski Król Pruski etc. podajemy do wiadomości:

Ponieważ na szczególny rozkaz Nasz w widoku uszczęśliwienia Włościan i utrzymania dobrego porządku wydano szczególny Porządek wiejski policyiny, w którym najważniejsze obowiązki i powinności każdego i najsławniejsze policyine ustawy są umieszczone, a w takowym zaś prawie porządku policyinego na wsi powinności Sołtysów osobiste, których wiadomości im tylko samym jest potrzebna, wyrażonemi być nie mogły; następującą zatem ułożono Instrukcją dla Sołtysów. Każdy Sołtys, co z pilnością treść teyże instrukcji rozważy i przepisy w niej zawarte wykona ściśle, nie tylko ujdzie od wszelkiej odpowiedzialności, lecz znajdzie sposób z swojej strony niemało przyczynić się jak naychwałebniej do powszechnego porządku.”

Do sołtysów po polsku! A zatem nawet oni byli jeszcze w roku 1804 Polakami, jeżeli zaś wieś miała sołtysa Polaka, to jaka była jej ludność, która go wybrała?

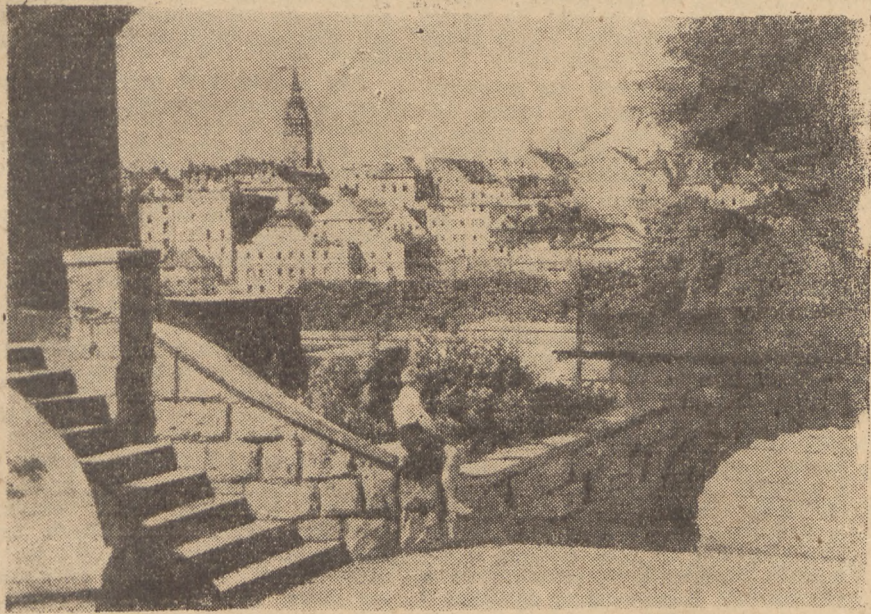
I jeszcze jeden dowód z roku 1801, w którym same polakożercze władze pruskie uznały prawo do nauki języka polskiego dla młodzieży tej ziemi:

STUDIEN

und Erziehungsplan für die Universität Breslau und die katholischen Gymnasien in dem Herzogthum Schlesien und der Grafschaft Glatz.

§ 80. Polnische Sprache wöchentlich 3 Stunden in den oberen Classen.

Trzy tylko odnalezione dokumenty, świadczące o niedawnej polskości ziemi kłodzkiej, ale wymowa ich starczy za tomy. A ile pisanych śladów tej polskości musieli Niemcy, zwłaszcza za czasów Hitlera, zniszczyć lub ukryć? A wreszcie ostatni dowód — cmentarz, gdzie wśród napisów na nagrobkach gęsto widnieją nazwiska polskie. Dostać. Nawet komentarze zbyteczne.



Kłodzko — widok ogólny (Fot. inż. J. Mańkowski)

gród Kłodzko stanowił własność rycerza Sławnika, o którym źródła polskie twierdzą, że nie był Czechem, gdyż pieczętował się herbem „Topór” i on to prawdopodobnie był protoplastą znakomitego rodu Toporczyków małopolskich. Jednocześnie kronikarz ten podaje w pisowni łacińskiej nazwę miasta jako Cladsko, a raz nawet Clodsko, źródła niemieckie zaś wymieniają nazwy: Cladesch, Cladecko, Cladsko, Cladsk, Claz, Clac, Glatz, a niektóre z nich (jak przyczynki do historii biskupstwa wrocławskiego Miklosich i Stenzel) wyraźnie zaznaczają, że nazwa Cladsko odpowiada polskiemu Kłodzko, co wywodzi się od czeskiego słowa klada, a polskiego kloda i pochodzi stąd, że umocnienia grodu były zbudowane z kłód.

Pod koniec X wieku książę praski morduje Sławnika wraz z całą prawie rodziną i Kłodzko dostaje się w ręce czeskie, ale wkrótce znów wraca do Polski jako posag Dąbrówki, żony Mieszka I, po czym po raz drugi zostaje opalone przez Czechów.

W r. 1003 Bolesław Chrobry zdobywa Kłodzko w zwycięskim pochodzie na Czechy, ale w rok potem musi je opuścić, a oblega ponownie w r. 1010, jednak z powodu odniesionej rany i chorób, dziesiątkujących jego wojsko, zmuszony jest odstąpić.

Pod datą 1104 r. niemieckie „Geschichtsbuch der Grafschaft Glatz” przytacza notatkę Długosza, że pod murami grodu zebrali się wojska czeskie oraz, co ciekawsze, podaje obok nazwy Glatz również Kłodzko.

Zdobyte w rezultacie przez Czechów miasto w dziesięć lat później znów oblegają Polacy, przy czym podpalili je, zdobywają, w r. zaś 1137 zawierają z Czechami w Kłodzku „wieczysty pokój”.

Około r. 1260 król czeski, Ottokar II (jak widzimy miasto znowu znalazło się pod panowaniem czeskim) zaczyna ścigać na większą skalę rycerzy i kolonistów niemieckich, co daje początek wielkiej fali osadnictwa niemieckiego. Po śmierci Ottokara II miasto obsadza na mocy układu spadkowego książę wrocławski, Henryk IV, a po nim w spadku król czeski, Wacław II.

W r. 1638, a następnie po raz drugi w 1642 oblegają Kłodzko bezskutecznie Szwedzi, a w r. 1680 wybucha epidemia dżumy, która dziesiątkuje ludność, po wygaśnięciu zaś zarazy miasto funduje na rynku stojącą po dziś dzień kolumnę ze statua Matki Boskiej.

Prócz Czechów, Niemców i Szwedów widziało Kłodzko również wojska rosyjskie, które w r. 1735 szły tędy przeciwko Francji.

W dalszej kolei swych zmiennych losów dostaje się miasto w r. 1742 pod

Zdobywcy nieznanymi przestyrzeni

(Dokończenie ze strony 2)

wać sztucznie w laboratorium. Studia nad wymienionymi promieniami można przeprowadzać tylko w stratosferze. Wybitni uczeni nie zgadzają się co do tego, czym jest właściwie promień kosmiczny, ale szkoła, do której należą również Piccardowie, uważa, że jest to nalożona elektrycznością cząsteczka materii, która mknie z niesłychaną szybkością, a ma kształt małej kuli. Augustyn Piccard w jednej ze swych prelekcji, wygłoszonej w czasie pobytu w Stanach Zjednoczonych oświadczył, że transformacja atomów trzech kropli wody może wyprodukować dostateczną ilość promieni kosmicznych oraz energii, przy pomocy której można by oświetlić w nocy całe miasto Waszyngton.

Rosjanie również mniemają, że promienie kosmiczne w górnej stratosferze zawierają tajemnicę nowej, wiedzy atomowej.

Ale powróćmy do naszej wyimaginowanej podróży Piccardów do stratosfery. Utrata balastu, oczywiście nie całkowitego, powoduje szybszy lot balonów. Piccardowie znajdują się jeszcze w górnej stratosferze, gdzie tylko 1% ziemskiej atmosfery istnieje w terenie pomiędzy gwiazdami. Jest — rzecz jasna — inne życie w atmosferze, zawierającej 21% powietrza, ale tutaj jest tylko znikoma jego ilość, tak, że płuca ludzkie nie mogą czerpać wystarczających ilości tlenu, dla podtrzymania życia. Tło nieba — jak już wspominaliśmy — jest zupełnie czarne, a słońce i gwiazdy świecą równocześnie.

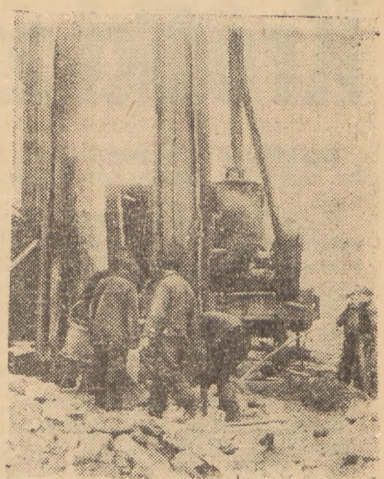
W ten sposób odbyli Piccardowie podróż do stratosfery, posuwając się

wolno w rejonie promieni kosmicznych, które są przedmiotem badań uczonych. Drobne śmigło, znajdujące się na jednej stronie gondoli, popycha flegmatycznie stratosferycznych spacerowiczów. Panuje tu niezwykle zimno, uniemożliwiające szersze przeprowadzanie doświadczeń. W związku z tym po dłuższym eksperymentowaniu Augustyn zaproponował bratu, aby dolną część (55%) gondoli pokrył czarną farbą, absorbującą ciepło, a górną część (45%) — białą. Jean uczynił, jak nakazał Augustyn, osiągając doskonałe rezultaty. Stwierdził bowiem, że na największej dotychczas zbadanej wysokości stratosfery, temperatura wewnątrz gondoli wynosiła 467°C, podczas gdy na zewnątrz — 66°. W takich warunkach atmosferycznych człowiek momentalnie umiera, a ciało jego przybiera zupełnie czarny kolor w następstwie działania promieni słonecznych. W końcu Piccardowie przejeżdżając po podniebnych przestworzach decydują się wyładować, nim zajdzie słońce, w nocy bowiem warunki lądowania, jak również warunki atmosferyczne, przedstawiają duże niebezpieczeństwo.

Obaj bracia Piccardowie spędzają obecnie wolny czas na gorączkowym przygotowaniu do następnych podróży. Fundusze na podróż Augustyna wyznacza belgijskie towarzystwo dla poszukiwawców naukowych. Jean rozpocznie budowę gondoli i balonu po otrzymaniu 300 tys. funtów szterlingów. W przyszłym roku, o ile warunki pozwolą, świat będzie śledził, może epokowe podróże słynnych badaczy, którzy pragną dokonać nieznanych dotąd odkryć.

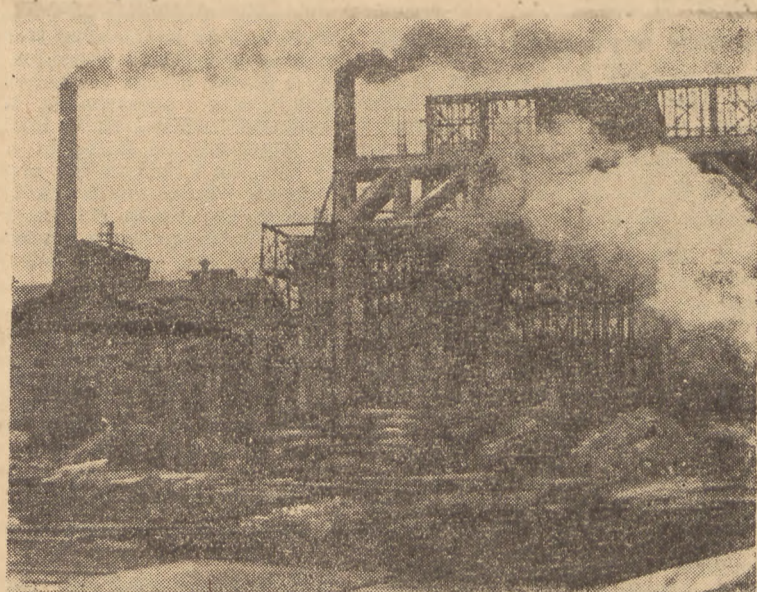
(51)

Nowoczesne metody w odbudowie hutnictwa



Huta „Kościuszk” w Chorzowie, jedna z przodujących hut na Śląsku, pracuje pełną parą, przekraczając w niektórych działach przewidziane planem normy.

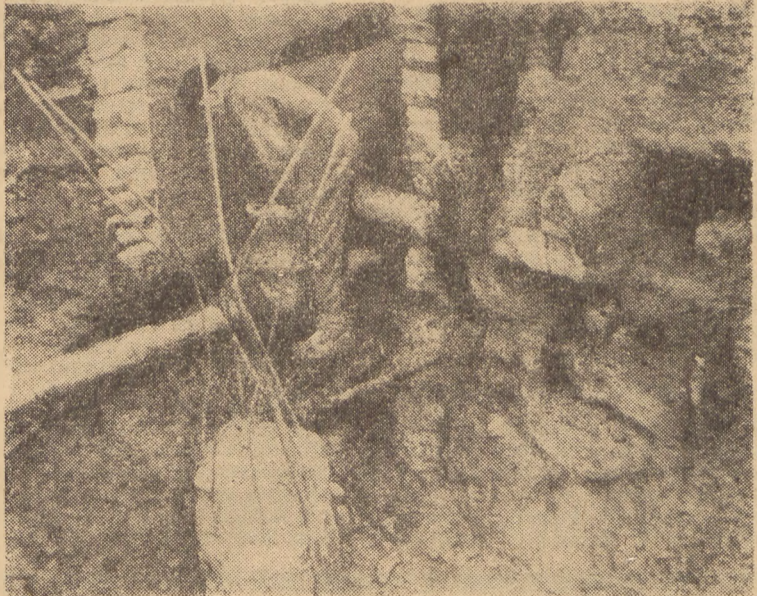
Kierowana sprężycie przez inż. Czechowicza i jego współpracowników, huta prowadzi poważne prace inwestycyjne, które mają na celu zwiększenie wy-



dajności i udoskonalenie produkcji. Poza wykańczaniem jełynego budowlanego w Polsce pieca typu amerykańskiego, który będzie najwyższym w Polsce, huta stawia nową walcownię, całkowicie zmechanizowaną. Budowa prowadzona jest przy pomocy najnowszych urządzeń, systemem, którego przed wojną użyto jedynie przy budowie Stalowej Woli.

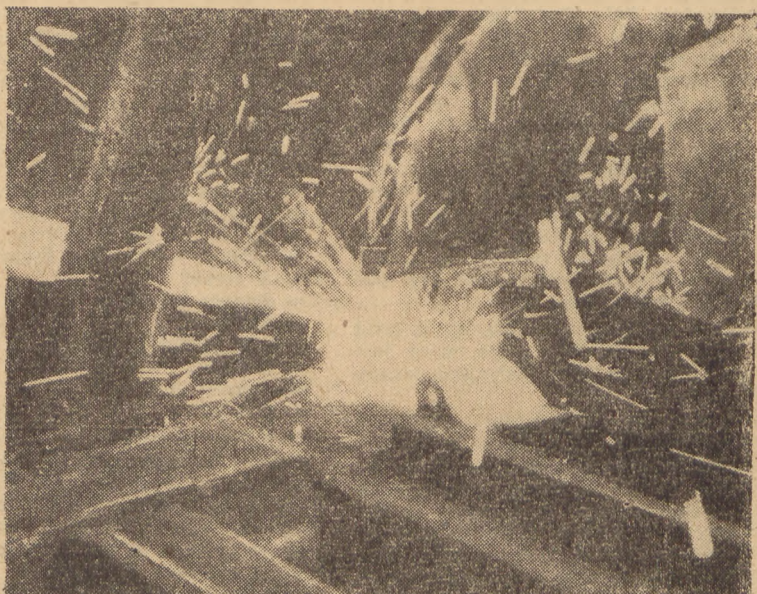
Roboty prowadzi się w ten sposób, że natychmiast po zwaleniu części murów starej walcowni metodą „Pale Frank”, wbija się słupy betonowe, stanowiące fundamenty nowej budowli.

Budowa, rozplanowana w najdrobniejszych szczegółach pozwala na równoczesne przeprowadzanie robót przygotowawczych przy osadzeniu maszyn,



przy czym bory pneumatyczne wywierają odpowiednie otwory w słupach betonowych. Jednocześnie z tym wykańcza się sale nowoczesnych obrabiarek.

Na każdym kroku widzi się wytyczoną pracę kierownictwa. Unowocześnie nie metod budowy, wykorzystanie wszystkich ułatwień technicznych, daje gwarancję jakości i celowości przeprowadzanych prac inwestycyjnych. Zdję-



cia, które reprodukuje powyżej, przedstawiają fragmenty budowy nowej walcowni: 1. Wbijanie pala przy pomocy młota parowego, zamiast kłopotliwego murowania fundamentów; 2. Widok na starą walcownię; 3. Fundament palowy syst. „Pale Frank”; 4. Cięcie szyny przy budowie walcowni.

Franciszek Godula

Krótki zarys odrodzenia narodowego na G. Śląsku

Odrodzenie narodowe Śląska nie było by całkowite bez książki i gazety polskiej.

Początki tego odrodzenia sięgają pierwszych dziesiątek lat ubiegłego stulecia. Pierwsi pionierzy ruchu narodowego znajdowali się w położeniu, którego im nikt nie pozazdrościł. Skąpe było grono tych, którzy się koło nich grupowali, od nich brali nauki i wiedzę, którą się następnie dzieliłi z swymi najbliższymi, krewnymi, czy też sąsiadami.

Uświadomienie na ogół szło w tempie powolnym, trudności były z czytaniem, gdyż polski elementarz zabłąkał się tylko wyjątkowo pod strzechę chłopską czy też do domu robotniczego. Rodzice nasi uczyli polskiego pisaną na książce do nabożeństwa. Inni mniej lub wcale nie mieli sposobności uczenia się w domu rodzicielskim polskiego czytania. Dochodził do tej sprawności dopiero w późniejszych latach.

POSTĘPY W POLSKIM CZYTANIU

Znajdując się z polskim alfabetem i doszedłszy do jakiejś takiej umiejętności polskiego czytania, zauważyć można było pęd ku udoskonaleniu się i to na kalendarzach (jako pierwszy na Górnym Śląsku, bo już od roku 1844 proboszcz bytomski ks. Józef Szafranek wydawał przez kilka lat polskie kalendarze), „Marianki” Karola Miarki w Mikołowie, „Katolika” w Bytomiu, „Misyjny” (oo. Trapistów) we Wrocławiu, „Gazety Opolskiej” i „Nowin Raciborskich”. Kalendarze te były bardzo popularne i chętnie czytane, tak po wsiach, jak i w ośrodkach robotniczych. Ostatnie dwa odznaczały się nadzwyczajnie niską ceną, gdyż pojedynczy egzemplarz kosztował tylko 10 fenigów.

Nadto sięgano i do tanich książek, takich za 25, 30, 40 i 50 fenigów za egzemplarz. Prym wodziły książki powieściowe i takie o treści wesołej, jak „Przygody Sowizdrzała”, „Historia o Urbanie Długonosie” i inne. Były także wydawnictwa powieściowe Józefa Lomps, nauczyciela ludowego na Śląsku, jak: „Historia o Gryzeldzie”, „Kirlanda”, „Historia o szlachetnej Meluzynie”, „Historia o pobożnej Petroneli, pustelnicy na górze św. Anny” i wiele innych. Wszystkie one miały charakter baśniowy i kłechowy. Lompa znalazł wyborne uosobienie ludu i doskonale zdawał sobie sprawę ze swej czynności, kiedy pisał i drukował „Kirlandy”, „Meluzyny” itp.

Dzisiaj patrzymy z uśmiechem lub politowaniem na powiatki tego rodzaju, lecz nie wiem, czy słusznie, bo odpowiadają one bardzo dobrze uosobieniu ludu prostego, zaczynającego po raz pierwszy brać do rąk dziełka drukowane. Jeżeli tedy rozwój i postęp ma być naturalny, to pierwsze książki dla ludu powinny mieć treść podaną, to jest fantastyczną, baśniową i legendową. Książki takie nie są bezpożyteczne choćby już z tego powodu, że uczą przynajmniej czytania, myślenia, że rozszerzają zamiłowanie do książek w ogóle i są niejako pierwszym szczeblem do wyższego poziomu.

CZYTELNICTWO GAZET POLSKICH

W roku 1843 powstała na Górnym Śląsku pierwsza drukarnia polska Tomasz Nowackiego w Mikołowie oraz pierwsze polskie czasopismo, mianowicie „Tygodnik Polski”, poświęcony włościanom w Pszczynie. Dowodził to

niezłobnie, że polski lud na Śląsku pragnął i potrzebował oświaty przy pomocy słowa drukowanego. Nie ograniczał się tylko do powiastek, klechd czy podań, lecz sięgał po strawę wartościowszą i głębszą, jaką mogły mu w owych czasach dać tylko gazety.

W roku 1848 zaczął wychodzić u Teodora Heneczka w Piekarach „Dziennik Górnośląski”, pierwsze szczere i otwarte narodowe pismo na Śląsku, w Oleśnie tygodnik „Telegraf Górnośląski” oraz w Pszczynie „Tygodnik Górnośląski”. Powstały jeszcze inne gazety, które jednak po stosunkowo krótkim czasie upadły. W latach 1850—1869 na Śląsku żadna gazeta polska nie wychodziła.

Dopiero w roku 1869 kończy się ten 20-letni okres ciszy grobowej polskiego słowa duchowego. Mianowicie dotychczasowy nauczyciel ludowy Karol Miarka nabywa od Józefa Chociszewskiego „Katolika” i przenosi go z Chelmu (na Pomorzu) do Królewskiej Huty. „Katolik” ze wszystkich czasopism na Górnym Śląsku cieszył się największą popularnością i poczytnością. Wydawany najprzód w Królewskiej Hucie, a wreszcie w Mikołowie, na Rozbarku, a wreszcie w Bytomiu i redagowany przez mężów znacznych i znakomych jak np. Karola Miarkę, ks. Adolfa Hytrka, ks. Stanisława Radziejewskiego i Adama Napieralskiego, miał piękną tradycję zasług.

Bez „Katolika” nie byłoby doszło do unarodowienia wśród ludu górnośląskiego. „Katolik” wraz z ludem polskim wygrał „walkę kulturową” i wybory do sejmiku pruskiego i parlamentu niemieckiego. „Katolik” i jego redaktorzy wytrwale pracowali nie tylko nad narodowym uświadomieniem ludu, ale także nad jego podniesieniem gospodarczym tudzież nad jego zjednoczeniem w twa-

rzystwach czy organizacjach zawodowych. Wszelki dorobek narodowy w drugiej połowie ubiegłego stulecia to zasługa „Katolika”. Na nim wychowały się całe pokolenia ludzi uświadomionych, spośród których dziś jeszcze niedługo jednostka zajmuje poczesne miejsce w społeczności polskiej Górnego Śląska. Największą zasługą tego pisma pozostanie, że setki i tysiące naszych rodaków i rodaków nauczyło się polskiego czytania i pisaną.

Niemniej wielkie zasługi około narodowego przebudzenia ludu na Górnym Śląsku mają „Nowiny Raciborskie” (wychodzące od 1889 w Raciborzu) oraz „Gazeta Opolska” (w Opolu od 1890 r.). Jedna i druga gazeta przeszła 30 lat czuwały nad ożywieniem i utrzymaniem polskości. Rezultaty tej pracy jeszcze dziś się napotyka w powiatach raciborskim, rybnickim, kozielskim, strzeleckim, opolskim i prudnickim.

Prowadzone przez „Katolika”, „Nowiny Raciborskie” i „Gazetę Opolską” ludności polskiej otwierały się oczy, rosła w ludzi otucha i wiara w siebie, w swoją siłę.

SZKOŁA PRUSKA HAMULCEM W ROZWOJU NARODOWYM

Pruska szkoła na Śląsku była narzędziem germanizacyjnym w rękach władz zaborczych. „W niej, jak powiada największy poeta śląski, ks. Norbert Bończyk, wychowuje się polskie dzieci na niemieckie woły.” Od roku 1872 wyrzucano z niej język polski, z wyjątkiem najniższych klas, w których uczono jeszcze jakie 20 lat religii po polsku. Od mniej więcej 1895 r. i te lekcje skasowano, tak, że w szkole panowała już wyłącznie tylko niemieczyna. Działka nie słyszała już słowa polskiego i od

najmłodszych lat była skazana na zniemczenie.

Używano wszystkich sposobów, by nawet poza szkołą posługiwała się dialektem polskim językiem niemieckim. W kościołach zaprowadzono nabożeństwa t. zw. szkolne z niemieckim śpiewem, w których młodzież szkolna musiała brać udział. Nadto nakazywano działwie, by czy to na ulicy, czy też w domu żywała języka niemieckiego a nawet, by się modliła po niemiecku. Po prostu każdemu dziecku wydobywano mózg polski a do jego główki wkładano nowy mózg — niemiecki. Za niestosowanie się do zarządzeń szkoły groziły działwie surowe kary.

W takich warunkach nic dziwnego, że wielka liczba dzieci rok rocznie odpada od pnia macierzystego i ginęła w morzu niemieckim. Ginęły dzieci rodziców wprawdzie polskich, lecz nie dbających o ich narodowe wychowanie. W domu takich rodziców nie znano ani polskiej książki ani gazety, które były niejako tarczą obronną w walce z trucizną niemiecką.

W KOŚCIELE NAJDUŻEJ PRZETRWAŁ JĘZYK POLSKI

Sprawiedliwość wymaga stwierdzić i przyznać, że język polski poza domem rodzinnym przetrwał najdłużej w kościele, choć zawsze byli księża, którzy z pobudek patriotycznych swego niemieckiego serca szli ślepo za rządem i w wychowaniu stosowali system germanizacyjny. Jak już powiedziałem, w kościołach zaprowadzono nabożeństwa t. zw. szkolne z niemieckim śpiewem i kazaniem, na które działwa musiała chodzić obowiązkowo. Nadto przygotowali dzieci polskie do pierwszej spowiedzi i Komunii św. po niemiecku i

zakładali niemieckie bractwa kościelne. Wreszcie w kościołach usuwali napisy polskie, zastępując je niemieckimi. Były to jednak wyjątki wśród duchowieństwa, w stosunku do ogólnej liczby duchowieństwa nieliczne.

Natomiast przeważająca część księży przynajmniej otwarcie nie germanizowała. Stała na zasadzie sprawiedliwości, która nakazuje wychowanie narodu, a szczególnie młodzieży w ojczystym języku. W kościołach odprawiała nabożeństwa z polskim śpiewem i głosiła polskie kazania, nauka przygotowawcza do Sakramentów św. była polska, bractwa kościelne były nadal polskie.

Gdy w roku 1888 regencja w Opolu zrobiła nieśmiałą próbę, czy już tak głęboko ma w kieszeni biskupa i księży, aby mogła komenderować po niemiecku już i w nauce przygotowawczej do Sakramentów św., wtedy stanowczo oparło się duchowieństwo tej żądzy germanizacyjnej.

Taki stan rzeczy przetrwał do pojawienia się reżimu hitlerowskiego, kiedy to wyrzucono język polski z wszystkich kościołach na Śląsku. Odtąd wszystkim szlachetnym kapłanom zamknięto usta tak dalece, że w wielu wypadkach nie było im wolno słuchać spowiedzi po polsku, co boleśnie odczuła ludność starsza, słaba lub wcale nie władająca językiem przez hitlerizm narzucony.

Nadmienić wypada, że na Śląsku nigdy nie brakowało księży narodowo uświadomionych. W parafiach przez nich zajmowanych, nawet w życiu pozakościelnym było jakoś swobodniej, czy nawet lżej. Oczywiście księża ci byli znienawidzonymi przez rządy pruskie, wielu z nich zginęło w obozach koncentracyjnych czy w więzieniach w okresie ostatniej wojny

Dookoła kobiety

Wykształcenie zawodowe podstawą egzystencji

W pierwszych dniach Nowego Roku rozpoczynają się w Warszawie, zorganizowane z inicjatywy Związków Zawodowych, kursy szkoleniowe dla kobiet w zawodach: szklarskim, malarskim i elektro-technicznym. Uroczonymi kursów zajęli się Wydział Kobiety Związku Zawodowego Pracowników Budowlanych (Warszawa, Marszałkowska 72). Kursy te, po przeprowadzonym ostatnio szkoleniu instruktorów kwiaciarstwa, stanowią dalszy ciąg planowej akcji zawodowego kształcenia kobiet i stworzenia im samodzielnych warsztatów pracy.

Kursy prowadzone będą przez pracowników Instytutu Naukowo-Rzemieślniczego; bezpieczna nauka, odbywająca się w godzinach wieczornych, trwać będzie od 3 do 6 miesięcy. Warunkiem przyjęcia jest ukończona szkoła powszechna i wiek powyżej 18 lat.

Trzy te nowe gałęzie pracy, dotychczas prawie zupełnie nie obsadzone przez kobiety, zwiększą znów ilość zawodów, dostępnych dla „kobiecych rąk” i będą dalszym etapem zawodowego kształcenia kobiet. Czas już najwyższy, by zniknął kobiecy element „do wszystkiego”,

który umiając wszystko, nie umie nic, przez co stwarza okazję do wykorzystania pracy swej jako tańszej. Pogłębianie wiedzy zawodowej i specjalizacja — to podstawowe warunki zdobycia

Przeobrażenia kosmetyki

Aby zorientować się, czego możemy spodziewać się od kosmetyki, należałoby przede wszystkim wiedzieć, czym ona jest w rzeczywistości? Niestety, do dziś spotyka się jeszcze zdanie, że kosmetyka polega na chwilowym upiększaniu, przy pomocy szminek i pudrów. Są ten wyniki po prostu z braku znajomości tej gałęzi nauki.

Brak zrozumienia istotnych zadań kosmetyki jest tym bardziej niezrozumiałym, że dzieje się to w chwili, kiedy przeobraża się ona ze sztuki upiększania — w odłam medycyny. W całym świecie cieszy się ona już uznaniem i w szalonym tempie idzie naprzód, zdobywając coraz to nowe rzesze zwolenników. — U nas natomiast ruca się jej klody pod nogi. A przecież powinno

egzystencji na poziomie. Wciągnięcie kobiet do pracy produkcyjnej, a nawet zastąpienie mężczyzn w całym szeregu zawodów jest koniecznością, której domaga się współczesna rzeczywistość.

być naszą ambicją, aby kosmetyka i w Polsce stała na właściwym poziomie i nie była spychana do kategorii podrzędnej. Musimy zrozumieć, że współczesna kosmetyka oparta o tak poważne gałęzie wiedzy, jak medycyna (dermatologia, fizjologia, higiena, mała chirurgia itp.), chemia i fizyka (elektroterapia), wkroczyła na drogę kultury fizycznej, ułatwiającej zdobycie zdrowego i estetycznego wyglądu.

Nowoczesna kosmetyka — to walka nieraz z drobnymi, a jakże szpecącymi schorzeniami skóry, do których w pierwszym rzędzie należy zaliczyć wargę, krosty, nadmierne łojotki, łupież, piegi, różne plamy, zmarszczki, odmrozenia itp. Powodem ich występowania, obok przyczyn wewnętrznych, bywa często i własne niedbalstwo, nieświadomość lub stosowanie nieodpowiednich, a nieraz wręcz szkodliwych środków.

Przeżycia wojenne, ciężkie warunki z jakimi walczyła i walczy kobieta, przyczyniły się już od lat do podkopania ogólnego stanu zdrowia, wywołując niekorzystne zmiany w jej zewnętrznym wyglądzie. — Skóra ludzka jest nie tylko narządem oddychania, wydzielnia i ochroną organizmu, ale ma jeszcze tę właściwość, że jak seismograf notuje wszelkie zmiany i jak najbardziej uczulona kłisza wykazuje jaki organ wadliwie funkcjonuje. Nie może więc być mowy o tym, aby nie znając działalności organów wewnętrznych, można było tylko za pomocą zabiegów zewnętrznych, uzyskać konkretne i dobre rezultaty.

Dlatego też w wypadkach jakiegokolwiek zmian, zachodzących w skórze i wyglądzie, musimy zwracać się do kosmetyczki, posiadającej o odpowiednim wyszkoleniu, oparte na podstawach naukowych.

Doba powojenna, tak inna w swych wszystkich przejawach, stworzyła zupełnie odmienną typ kobiety. — To już w większości wypadków nie wygodnie butująca „pani domu”, lecz pracownica ten dom często sama utrzymująca, człowiek aktywny we wszystkich przejawach życia.

Podejście do zagadnień kosmetycznych musi się zmienić gruntownie. Kosmetyka ma być nie luksusem, dostępnym tylko dla uprzywilejowanych, ale ma stać na usługach całego społeczeństwa pracujących kobiet.

Jest rzeczą dowiedzioną, że inteligencja, inwencja i inne poważne psychiczne, poparte harmonijną i estetyczną sylwetką, zdystansują zawsze, choćby najlepiej przygotowaną do swego zawodu kobietę zaniedbaną.

Jest to nie tylko interes jednostki, ale i nakaz polskiej racji stanu.

2.800 KOBIET NA KURSACH

Akcja przeszkoleniowa obejmuje również grupę i t. zw. podopiecznych, korekcyjnych ze świadceń Opieki Społecznej. W związku z tym w Ministerstwie Pracy i Opieki Społecznej, odbyła się, pod przewodnictwem wiceministra dr. Eugenii Pragerowej, konferencja z udziałem przedstawicieli Ministerstwa Oświaty, Centralnego Urzędu Planowania i Instytutu Naukowo-Rzemieślniczego, na której omówiono całokształt działania. Akcja obejmuje doszkalanie osób, przebywających zarówno w zakładach opieki całkowitej, jak i korzystających z opieki częściowej. Dla pierwszych z obu grup, urządzono w zakładach tych kursy, na których wszyscy pensjonariusze, zdolni do pracy (kobiety i mężczyźni), uczą się fachu pod kierunkiem instruktorów. Osobną grupę, wydzieloną, stanowi 51 Domów Matki i Dziecka, szkolących w tej chwili około 2.800 kobiet.

W ciągu najbliższych miesięcy przewidziana jest szeroka rozbudowa tej akcji, by ilość osób, zmuszonych z braku kwalifikacji zawodowych, do korzystania ze świadceń Opieki Społecznej, zmniejszyć do minimum. Dodac tu trzeba, że przeważający procent tych podopiecznych stanowią — obok inwalidów wojennych — właśnie kobiety.

KŁOPOTY NIE TYLKO U NAS

Zagadnienie zarówno zdobycia warsztatu pracy przez kobiety, jak i utrzymania się przy nim, stanowi obecnie problem nawet w kraju tak, zdaje się, mlekiem i miodem płynącym, jak Stany Zjednoczone. Łatwość otrzymania pracy przez Amerykanki w czasie wojny, podkreślana nawet jako obowiązek względem ojczyzny, zaczyna być obecnie coraz bardziej problematyczną. Jak podaje prasa amerykańska, New York był niedawno świadkiem olbrzymiej demonstracji ulicznej zdemobilizowanych żołnierzy, domagających się pracy. Jednym z punktów wysuwanych żądań było opuszczenie warsztatów pracy przez kobiety.

Sprawa ta jednak nie jest taka prosta. W 1940 r. było w USA 11.200 kobiet pracujących tylko w przemyśle. W 1944 roku liczba kobiet, zatrudnionych w przemyśle wzrosła do cyfry 180.700. Kobiety przyczyniły się do wyprodukowania 80% produktów przemysłu wojennego.

Koniec wojny dla wielu Amerykank był jednocześnie ciężkim początkiem nowego życia. Okrety, zwożące żołnierzy, nie przywoziły wszystkich, których zabrali. Na kobiety amerykańskie spadał obowiązek utrzymania rodzin, a więc pozostania przy warsztacie pracy. Żądania zdemobilizowanych żołnierzy odnośnie usunięcia z pracy kobiet, nie mogą być przez rząd spełnione w całej rozciągłości. Jak sprawa ta zostanie rozwiązana, pokaże przyszłość. (h. m.)

Franciszek Molnar

Porada lekarska

Zdarzyła się ta historia z moim przyjacielem Bela Horwatem, z którym spędziłem wiele lat. Był malarzem, rzeźbiarzem i architektem, wybitnie utalentowanym artystą. — Był jednak również namalowanym graczem. — Grał w klubach Ostendy, w Sopocie, Monte Carlo. Grał śmiało, zuchwale z wyjątkowym szczęściem. — Przesiadywałem przy nim w milczeniu całe noce, podziwiając jego śmiałe pomysły i wprost diabelski instynkt. Gdy szczęście po krótkim wahaniu zaczęło mu sprzyjać w pierwszym kwadransie, nie pozwolił już mu ulotnić się.

Pewnego dnia prosił mnie, abym udał się z nim do Wiednia, gdyż chory jest na żołądek i chciałby zasięgnąć porady u lekarza.

Pojechalśmy do Wiednia i udaliśmy się do profesora F. — Na kategoryczne życzenie Beli byłem obecny podczas badania. Profesor oświadczył, że żołądek funkcjonuje dobrze, lecz radził z naciskiem, aby Horwat zwrócił się do neurologa. Pomimo, że byliśmy laikami, zaliśmy się na tyle na rzeczy, żeby zrozumieć powagę sytuacji, gdy przy cierpieniu żołądka zwraca większą uwagę na odruchoy kołna i żreńic, niż na rzekomo chory żołądek.

U neurologa asystowałem również przy badaniu. — Mój przyjaciel musiał się rozebrać i wykonać zwykłe w tych okolicznościach ruchy: chodzić, samknąwszy oczy, zakładać palec na palec

itp. Następnie położył się na brzuchu. Lekarz wziął do ręki długą igłę z główką na końcu. Igła taka bada się wrażliwość nerwów kregosłupa. Procedura polega na tym, że lekarz dotyka grzbietu pacjenta końcem igły, to główką i sprawdza tożsamość doznanego wrażenia. Lekarz rozpoczął od końca igły.

— Koniec! — rzekł Bela.
— Zgadza się — potwierdził lekarz i dotknął znów grzbietu końcem.
— Koniec — rzekł Horwat.
— Bravo! — zawołał lekarz.
— A teraz?
— Znowu koniec.
— Słusznie.
Lekarz dotknął, główką.
— Główna! — rzekł Bela.
— Bravo! A teraz?
— Koniec!
— Bardzo dobrze!

Lekarz dotknął dalej i Horwat nie omylił się ani razu. — Odetchnąłem z ulgą. Uczucie przynębnienia, jakiego doznawałem przez cały czas zaczęło powoli ustępować. Wesół prawie schodziłem ze schodów i już gotów byłem uczynić jakąś uwagę pod adresem internisty, gdy Bela rzekł:

— Kochany przyjacielu, jestem bardzo chory — powiedział z naciskiem.

— Jakto? — spytałem. — Przecież wyniki konsultacji były bardzo pomysłne. Z początku obawiałem się o ciebie. Gdy jednak widziałem jak różnił się, czy to koniec igły...

— Kochany przyjacielu — przerwał mi Bela ze smutnym uśmiechem — przysięgam ci, że nie rozróżniałem niczego; ani końca igły, ani główki. Gdy dotknął mnie po raz pierwszy widziałem, że to będzie koniec igły, jest to bowiem najważniejsza część, nie zaś główna. Poza tym lekarz popełnił błąd, stwierdzając głośno słuszność moich słów, gdy powiedział, przy pierwszym dotknięciu „koniec”. Przyszło mi wtedy na myśl, że jest to właściwie gra z dwójką możliwością: koniec i główka, zupełnie jak na rulecie „czerwone” i „czarne”. Na tym znam się istotnie dobrze i już od tygodni sprzyja mi szczęście. Gdy lekarz dotknął mnie powtórnie, grałem znów na „koniec” i słyszałem „bravo”. — Doznałem wtedy znanego graczom uczucia, gdy mierzą się ze szczęściem. Mówiłem wciąż „koniec”, a gdy odgadłem po raz pierwszy, poczułem, że seria się kończy i rozpocznie się „główka”. Znów wygrałem. Zagrałem wtedy według znanego prawa: po serii „czerwone” wychodzi raz „czarne”. To posunięcie udało się również i wygrałem w ten sposób dziesięć razy, zupełnie, jakbym stawiał na „czerwone” i „czarne”. Gdyby lekarz milczał po każdym dotknięciu, byłbym w wielkim kłopotcie, co mam odpowiedzieć.

Nie zapomnę tak prędko dziwnego uśmiechu z jakim mówił Horwat, jak również całej tej historii

— Gdzie?

— W lesie naturalnie, a każdy z nas napisze wprzód testament, świadczący, że sam sobie odebrał życie.

Te szczegóły bardzo nie w smak poszły panu Porfiremu, który więcej myślał o śniadaniu, niż o testamencie i miał wstręt naturalny do spraw krwawych, jak skoro te z projektów dalekich zakrawać zaczynały na rzeczywistość. Posmutniał biedny pośrednik, ale się cofnąć nie było podobne; — zawsze tylko zostawała mu nadzieja, że się nie stanie przeciwno obyczajom i rzecz potrafi zakończyć śniadaniem. Ułożył sobie mocno zastraszyć Stanisława, odmalować mu potęgę, zrzeczność i siłę Zmory w barwach najjaskrawszych i w ten sposób do świętej przyczynić się zgody. Z takim planem po obiadku, który obydwom jakoś nie szedł przez gardło, wyjechał pan Porfiry, nie bez wstrętu, ale z miną wściekłą, która zastępowała odwagę.

Nie dojeżdżając do dworu, spotkał konno pędzącego Stanisława.

Dwaj panowie uchyliłi czapek i, zsiadłszy jeden z konia, drugi z bryczki, odeszli nieco na stronę.

Pan Porfiry przybrał ton potężny, wysoki.

— Przybyłem tu, — odezwał się z dandyzmem karykaturalnym — jako przyjaciel pana Teofila Zmory, którego waćpan dobrodziej obraziłeś, wymaga on zadośćuczynienia.

— Dam je najchętniej i jakie zechce, — odpowiedział, uśmiechając się Stanisław — jemu, Hubce, panu i kto tylko zażąda.

— O do licha! — rzekł na stronie przybyły — to coś kroj o wybór broni, czasu i miejsca, Panu Teofilowi, który tyle odbył pojedynków, zupełnie równo, jaką pan sobie obierziesz.

— Bardzo się z tego cieszę, że tak godnego mieć będę przeciwnika. — dorzucił Staś z uśmiechem — bo co do mnie także, pistolet, szabla, szpada, co prawie każecie, wszystko mi jedno, od szpilki do armaty.

— Pan dobrodziej żartuje! — rzekł Szalawiński.

— Mówię najszczerzej — chociaż ze zwyczaju wybór broni, czasu i miejsca jest przy mnie dozwalam państwu obrać sobie, co im się podoba.

Szalawiński uczuł jakieś niemiłe wrażenie, chciał zastraszyć, został wylekniiony, nie wiedział co począć.

— Moim sekundantem, gdy nikogo tu nie znam, będzie Parciński. Proszę mi dać znać tylko, gdzie mam się stawić i kiedy.

Porfiry uczuł za potrzebne w tym miejscu rozmowy nieco ton przybrany niewłaściwie zniżyć.

— Jak to miło widzieć takie męstwo! — rzekł z uczuciem.

— W istocie nie jestem tchórz, — odparł Stanisław, trochę od rana gniewem wyegzaltowany — ale gdybym nim był, musiałbym nareszcie zebrać się na męstwo i na kimś poszukiwać zniewag, jakich tu wszyscy doznajemy od naszego przybycia. Przyjechaliśmy z gotowością przyjaźni i uczuciem życzliwości, przyjęto nas nienawiścią i prześladowaniem; czas pokazać że z siebie przynajmniej drwić nie damy.

Delikatne było położenie pana Porfirego; co tu powiedzieć i kogo obwinić? a jak się tłumaczyć?

— Pan bo to bierze do serca, a to wypadek podobno — rzekł Szalawiński.

— Jakich już było tysiąc! Nareszcie trzeba raz temu położyć koniec.

Niezmiernie stropiony zawadiacką postawą i mową Stanisława, biedny poseł pokręcił się, zamruczał i pojechał, a Staś, dopadłszy konia, w galop się puścił po piaskach.

Noc już była, gdy Szalawiński do Brogów dojeżdżał, postanawiając teraz nastraszyć pana Teofila, który tego wcale nie potrzebował i w ten sposób, gdyby można, pojedynkowi zapobiec.

Oczekiwali go już i gospodarz i Hubka, który przybył strwożony, niemal płaczący poradzić się, co miał począć, powtarzając ciągle:

— To grunt, że ja się bić nie będę! Niech sobie robi, co chce, albowm ja głupi? bić się nie będę! dalibóg, nie będę!

Wtem zabrzęczały dzwonki, zahuczała bryczka i pan Porfiry, przybierając ważną minę, wtłoczył się do pokoju.

Gospodarz powstał, Hubka trzymał się za stół, tak mu nogi drżały.

— A co? a co? — zawołali obaj.

— A, niech go diabli porwą! — krzyknął Porfiry — tylko że mnie nie zjadł! To szalony człowiek!

— Zmilujże się, posłów nie wieszają, nie ścinają, — rzekł Zmora.

— Ale lajać, lajać.

— Jakto? Możeż to być?

— To jest, nie mogę powiedzieć żeby mi z czym nieprzyjemnym się odezwał, ale to wariat, to wściekły!

Zmora zmarszczył brwi.

— Mów bo, na co ta przesada!

Hubka ręce załamał i stał w milczeniu podobny do posągu Sylena na obrazie Rubensa, ale Sylena w surducie i z wysokimi kołnierzykami.

— Spotkałem go przed Zakalem w polu — rzekł poseł — żeby mi poczciwe słowo pisał, żeby poprosił na herbatę... nić. Spytałem go o wybór broni, placu, miejsca, powiedział mi tylko pogardliwie, że gotów służyć, kiedy chcemy i czym chcemy, od pistoletu do armaty, panu, Hubce i mnie i kto zechce..

— I o mnie mówił? Ach, ja nieszczęśliwy! To wściekły człowiek! I o mnie?

— I o panu, a dodał jeszcze, że nie tylko dwóch, ale wielu się podoba, stawić będzie czoło.

— Kogóż wskazuje za sekundanta?

— Parcińskiego, z powodu, że nie ma tu nikogo znajomego. Otóż macie, coście chcieli, robcie teraz, co się wam podoba.

Pan Piotr upadł na krzesło, zakrywając oczy, Zmora począł się przechadzać z widocznym niepokojem.

— Powiedz mi po prawdzie, bez przesady, panie Porfiry, — odezwał się, odwracając nagle — jaką miał minę?

— Złą trochę i bardzo drwiącą, jak Boga Kocham! — rzekł Szalawiński. — Powiadam panom, że jakkolwiek nikogo się nie boję, ale na nich miejscy być hym sobie nie życzył. Powiedział mi wyraźnie, że dawno pragnął pomścić się na kimś za wszystkie nieprzyjemności, jakich codzień doznają od sąsiedztwa.

— Na co było przywoździć do ostateczności? To szaleństwo! — odezwał się Hubka. — Co do mnie rzekam się wszystkiego, jutro jadę, przepraszam i cicho siedzieć będę! mnie życie miłe! Jam się nie głupi bić!

— O, co z tego to nic nie będzie! — przerwał Zmora — wstyd zrobisz sąsiedztwu całemu i z waćpana wnosząc, pomysła, żeśmy tu do nogi tchórze. Bij się nie bij, ale póki ja interesu nie skończę, nie wrywaj się do Zakala, bo jak mi Bóg mały, że ze mną będziesz miał do czynienia!

Pan Piotr, który Zmorę uważał za zawadiakę, począł drzeć, postawiony między młotem a kowadłem, i z wielkiego wysilenia ducha, który w nim pracował, począł się cały oblewać zimnym potem.

Nie będziemy opisywali długiej a niezajmującej narady pana Zmory i Porfirego, którzy wysłali nareszcie oznajmiając, że miejscem spotkania ma być lasek za Nowinami, i że tam oczekiwać będzie pan Teofil dnia jutrzejszego wieczorem, wybierając pistolety.

Pomimo niepokoju wszystkich mieszkańców Zakala, oczekujących wypadku z łatwą do pojęcia bojaźnią, Staś potrafił zwieść ojca i matkę, zapewniając, że dopiero za parę tygodni Zmora naznaczył pojedynek. Ta zwłoka robiła pani Balowej jakąś nadzieję, że się to wszystko rozchwije. Rano Stanisław wysłał pistolety swoje z Parcińskim do Nowin, do chaty starych Krużków dla niepoznaki, a sam po południu siadł na konia niby dla przejażdżki.

Okolo godziny trzeciej z południa on i pan Tomasz już byli na placu. Staś z najzimniejszą krwią palił cygaro, przechadzając się. Parciński wygadywał historię o sąsiedztwie, z właściwą surowością sądząc co go otaczało, jak nieprzyjazne sobie. Godzina upłynęła na gawędce niepostrzeżoną, aż wreszcie hurkot wózka i tętent koni dał się słyszeć, a na ścieżce ukazały się dwie najtyczanki, kilka wierzchowców i gromadka, towarzysząca panu Teofilowi. Oprócz niego bowiem i pana Porfirego, który miał minę arcykapłana przy spełnianiu tajemnic, tak go strach czynił poważnym, znajdował się tu i Jaś Pancer kuso ubrany, a wesoly i przelekły podsędek Hurkot, przyszły teść pana Teofila, i jeszcze parę figur mniej znajomych.

Spojrzawszy na ten uroczysty przybór, Staś się zmarszczył, miało t minę napadu zdaleka ukłonił się w milczeniu przybywającym, do których poszedł Parciński, zrzucił z siebie surdut i począł się niecierpliwie przechadzać, oczekując końca tej historii.

Przybyli ogromnie się naradzali, szeptali i widać było, że im to jakoś nie szło, gdy Parciński w imieniu Stanisława zażądał końca, gdyż czas ubiegał i wieczór się zbliżał.

— Przystąpimy, — rzekł — do nabicia broni!

Tu spór się wszczął o jej wybór.

— Na wszystko pozwalam, — odezwał się z daleka Stanisław — byleśmy raz skończyli przybory i wzięli się do rzeczy.

Nie było sposobu ociągać się dłużej i sekundanci dobyli z pudełek pistolety: gdy podsędek Hurkot zbladły, nadęty, nie ukrywając przerażenia, jakiego doznawał na widok tych groźnych przygotowań, zbliżył się do Parcińskiego.

— Mości dobrodzieju, — rzekł, z nałogu deklamując — w podobnych okolicznościach sekundancji zawsze starają się zapobiec krwi przelewowi.

— Wiem o tym, — odpowiedział pan Tomasz — ale to daremna rzecz, jeśli pan Zmora nie przeprosi pana Stanisława, ani myśleć o pojednaniu.

— Za co? za co? — krzyknął Hurkot — za to, że został potrącony? A to jemu należy się przeproszenie.

— O, o tym ani mówić, — rzekł pan Tomasz, wbijając kule. — Wiadomo panu, że to potrącenie było tylko zapłatą za niejedną przez wszystkich panów wyrządzoną Balom nieprzyjemność! Trzeba, żeby ktoś za te kroki zaczepne odpokutował. Mogę państwu zaręczyć, że pan Stanisław nie tylko wymagać będzie przeproszenia, ale nawet publicznego w plebanii!

Zmora w czasie tej rozprawy stał z daleka, ale uchem niespokojnie chwytając wyrazy, przyszedł też poskoczył ku niemu i począł doń szeptać z wielką żywością i ruchami, malującymi, co się z nim działo.

— Oszalał! — zawołał Zmora. — Będziemy się bili!

— Ale ja na to nie pozwolę! — rachując na wymowę swoją, przerwał podsędek i sam postąpił ku Stanisławowi.

— Nie mam przyjemności być panu znajomym, — rzekł z wielkim wysileniem — ale w takich okolicznościach zbytek ceremonii byłby śmiesznością. Bliskie węzły przyjaźni a wkrótce ściślejsze jeszcze łączą mnie i łączyć mają z panem Teofilem, boleję nad ostatecznością, która obu ich naraża. Czyż obraza jest tak wielka, żeby warta była krwi przelewu?

— Ja jestem wyzwany, — odpowiedział Staś spokojnie — to do mnie nie należy. Ale dodam to tylko, że gdybym wyzwany nie był od dawna sam wyzywającym być chciałem. Policzcie się państwo z sumieniem, iluście goręczkami napoili nas wszystkich od czasu naszego przybycia, a uznacie, że słuszny mam powód poszukiwać na pierwszym, co mi się nawinął, krzywdy swojej, a raczej krzywdy mojej rodziny.

Pan podsędek zmieszał się, nie wiedział co dalej mówić.

— Rozprawy do niczego nie prowadzą, do rzeczy! do rzeczy! Proszę odmierzyć plac.

Parciński rzucił chustkę i począł liczyć kroki, podsędek stał niemy i ostupiał.

Wtem szybki tętent pędzącego powozu dał się słyszeć w dali za krzakami, coraz bliżej, bliżej i pan Bal wyskoczył z koczka cały zdyszany, zmieszany, nieprzytomny.

Staś pobladł i chwycił się za głowę, a podsędek uradowany wprost pobiegł ku Balowi.

— Dzięki Bogu, że pan tu na moje wezwanie przybyłeś! — zawołał z czułością niemal, otwierając ręce, jakby do uścisku; — pomożesz mi pan dobrodzieju do zbliżenia tych dwóch zajadłych i zapalonych przeciwników.

Bal oglądał się tylko, ale uśmiech radości i uprzejmości już mu się zwił w ustach.

— Do czego to wszystko, — krzyknął podsędek — do czego? Nie macie państwo żalu do nas, nie znaleźmy ich, możemy fałszywie wy-

obrazili sobie, możemy co zawinili. Puśćmy to w niepamięć, podajmy sobie dłonie, zgoda, przyjaźń niech panuje między nami, nieprawdaż?

— Święte są słowa pańskie. — odparł pan Bal — bodajby się ziściły!

— Panie Teofilu, — przyskakując do niego zaklął go przysły teść — bądź dobrym przykładem, zbliż się pierwszy i daj rękę, proszę o to, wymagam! Mamy sobie do wyrzucenia, żeśmy tak godnych ludzi ocenić nie umieli.

— Stasiu, zbliż się! — rzekł ojciec.

— Ale cóż to! komedia? — zawołał Stanisław z wyraźną niechęcią. Parciński śmiał się serdecznie.

— Panie Teofilu, nie bądź uparty, zaklinam cię w imię twej bogdanki.

Pan Hurkot sądził w duchu, że tym wspomnieniem rozczuli i usposobi do łagodności swego przyszłego zięcia, na którego twarzy dziwny tylko grymas wywołał.

Wszakże nie było sposobu, jakkolwiek w ten sposób Balowie wygrywały sprawę ze wszech miar. Zimora, który wcale pojedynku nie pragnął, zbliżył się i podał Stanisławowi rękę, a ten ją przyjął zimno i poważnie się uklonił.

W tej samej prawie chwili z trzymanego w rękę już nabitego pistoletu strzelił od niechcienia do kręcącego się szczygła i położył go na miejscu.

Wystrzał ten niespodziany poprzestraszał starych, naśmieszył Parcińskiego, a pan Portiry, obejrawszy ofiarę i przekonawszy się, że miała głowę urwana, pokazał ją Zmorze ukradkiem.

— Niech go kaci wezmą! — rzekł po cichu — będę mu się kłaniał z daleka.

— A teraz, kto łaskaw, zaklinam i proszę do mnie, niech ta chwila będzie nowym i niezachwianym przymierzem między nami a godnym sąsiedztwem naszym — odezwał się pan Bal, czule rzucając się w objęcia sąsiedka, który go przyjął i obcałował z rozrzewnieniem.

Nastąpił uścisk z panem Teofilem, powoli przychodzącym do siebie, a Jaś Pancer pierwszy przyszedł dłoń podać Stanisławowi z dziwnym uczuciem. Potem wszyscy ruszyli do Zakala, gdzie z wielkim podziwieniem pani Balowej, nie wiedzącej o niczym, zjawiło się naraz tyle gości.

Oprócz Stanisława, który długo chmurny się przechadzał, reszta osób, nie wyjmując pana Teofila nawet, byli w najwyśmienitszym humorze. Prawda, że pan Bal podwójnie rad z takiego końca pojedynku i początku przyjaźni, przyjął swych sąsiadów co się nazywa, od serca. Wkrótce kobiety musiały wyjść, by gospodarz pozamykawszy drzwi, poił się do upadłego z tą natarczywością polską, która gotowa na kolanach domagać się spełnienia kielicha. Nikt nie odmawiał prośbom i o północy, gdy podano wieczerzę, tylko Jaś Pancer i Stanisław do niej zasiedli: jeden że mógł pić, ile mu kazano, drugi, że nic nie pił.

ROZDZIAŁ X

NARESZCIE BĘDZIE KONIEC

Staliśmy wreszcie u mety, bo cóż byśmy dalej opowiadali, powszednie chyba dzieje życia codziennego, które mniej jeszcze od pierwszych rysów tego obrazka tak powszedniego już z siebie — miały by zajęcia.

Przymierze Zakala z sąsiedztwem było zawarte i weszło natychmiast w czyn, bo i Hurkotowie i Dankiewiczowie i co żywo, pośpieszyło zawrzeć bliższą i ściślejszą znajomość z panem Balem. Po obliczeniu tylko korzyści tego związku, nie wiem, co na nim zyskał poczciwy kupiec, chyba to, że wszystkim służyć musiał, z czego nadzwyczaj był szczęśliwy.

Zresztą złote jabłko, jak większa część złotych jabłek świata tego, co dzień się stawało kwaśniejszą gnilką. Ale los zawsze czymś wynagradza przez ludzi wyrządzone krzywdy. Chociaż hrabia na śmiertelnej pościeli nie miał czasu obrachować się z panem Balem i krzywdy mu wyrządzonej odplacić, przestraszył Hubki, który zrzekł się i procesu Mylińskich i sam dobrowolnie ofiarował się dla świętej zgody na nowo przerobić układ o dyferencję, z czego Parciński zaraz skorzystał. — po części straty poniesione nagrodził. Z Mylińskimi ukończono zgodnie za niewielką sumę, a połowa dyferencji, zostająca przy Zakalu, polepszyła nieco stan tego majątku.

Wprawdzie nie przestały wiejskie zwyczajne kłopoty obsiadać pana Bala, który poznawał, że prawdziwe złote jabłka tylko w raju rosnąć i dojrzewać mogły, ale z tymi powoli się oswajał i mniej mu już były straszne, gdy lepiej swe położenie poznał. Zakale, powolnie urządzając się, nieco większe zaczęło dawać dochody, które zawsze jednak nie odnowiadały wyłożnym na nie kapitałom. Tymczasem handel pod okiem Strumisza w Warszawie za wszystko starczył, bo szedł nadspodziewanie szczęśliwie, a kupiec poznawał co dzień lepiej, że Janowi był winien ocalenie majątku i cały byt swój materialny.

Skłonny do przywiązania, do egzaltacji nawet, pan Erazm, wynosił teraz talent i poczciwość Strumisza tak wysoko, że pani Balowa odważyła mu się szepnąć nareszcie nieznacznie Lizi i o nim.

Bal mocno się zastanowił.

— Gdyby był szlachcic! — rzekł kiwając głową.

— Zmiluj się, kochanie, — odpowiedziała żona — a ja nią nie jestem.

— Toteż to jedyna wada asani dobrodziejki! — uśmiechając się grzecznie, odparł potomek Massagetów.

Ludwika ruszyła tylko ramionami.

— Ale on musi być szlachcic! — zawołał poprawiając się pan Bal — brzmienie nazwiska, piękne rysy twarzy, charakter nawet rycerski dowodza tego niezbitcie. Szukałem go w Niesieckim nie ma to prawda; ale ten Niesiecki bałamut, bałamut! tyle poopuszczał; byle kto jezuitom nie świadczył, za rękaw go chował.

— Mój Erazmie, — przerwała pani Balowa — szlachcic czy nie szlachcic, zdaje się, że go Lizia kocha.

— Znowu bez pozwolenia! — rzekł kupiec, zalamując ręce. — Stał tak sobie pozwolił sam i ona go naśladuje. Do czego to świat przyjdzie? Porządek społeczny zachwiany, nawet w rodzinach już jest nasienie nieposłuszeństwa. Okropna przyszłość dla Europy!

Nie sprzeciwiając się wcale, pani Balowa ruszyła tylko ramionami.

— Ty pozwolisz jednak? — odezwała się — jestem tego pewna, oni się kochają, ona z nim będzie szczęśliwa.

— Pozwolisz! juściż muszę, kiedy się już pokochali, — z konieczną powagą rzekł ojciec — ale to..., ostatni raz!

— Spodziewam się, bo ich więcej nie mamy.

— Mówię to na przypadek wnuków! — dodał kupiec.

Tak więc to, co się zdawało niepodobieństwem, małżeństwo Lizi i Strumisza, wyjednanę zostało przez matkę z największą łatwością. Zresztą zbliżające się ożywienie Stanisława jak najlepiej dogadzało teraz przyszłemu urządzeniu się całej rodziny. Ojciec, zawsze zakochany we wsi, miał sobie mieszkać w domku, który kazał budować niedaleko osady Nowin w pięknym gaju brzozowym; matka jechała do Warszawy z Lizią i przy Strumiszach żyć chciała, dokąd wiedziała dobrze, że i pan Erazm, który się zaklinał, że z Zakalą nie wyjedzie, przybyć musi, zażęskniwszy po swoich.

Ale, wprzód jeszcze powiedzmy o Konstancji i Stanisławie. Hrabia, umierając, zostawił jej najmiespodziewanej dwakroć sto tysięcy prostym długiem, a ta suma, choć nie wracała jej ani połowy tego, co utraciła, uczyniła ją przecie niezależną.

Za pozwoleniem ojca Stanisław oświadczył się, i choć cała rodzina i opiekunowie mocno byli przeciwni zamążpójściu jej, Konstancja, z łagodnością odpowiedziałwszy im, że nie zerwie danego przez nią słowa, — wytrzymała rady i perswazje, a na koniec podała rękę u ołtarza szczęśliwemu Stanisławowi.

Państwo młodzi mieszkać mieli w Zakalu, a stary nawet myślał bardzo przezwąć to miejsce Balogrodem, co jednak do skutku z różnych powodów nie przyszło. Swoją tylko nową sadybę za Nowinami uparł się i ochrzcił Hoczwią, na pamiątkę owej Hoczwi i Sredny, którą przodek jego Mikołaj wziął po pannie Zdowskiej.

Z połączeniem Lizi i Strumisza więcej było trudności, bo tu niemal prosić i zaklinać trzeba było Jana, żeby na swoje szczęście pozwolił, tak drżał, by go nie posądzono o rachubę, by mu nie wyrzucano niewdzięczności i zdrady.

Dla spokojności mieszkańców Zakala i to było wielkim szczęściem, że po śmierci hrabiego straciwszy opiekunów, pani Supółkowa z mężem wynieśli się nie tylko z Supówki, ale wyjechali do jakichś krewnych na Podole, unosząc z sobą nie zaspokojone zemsty pragnienie.

Sąsiedzi poprzyjaźnili się jak najserdeczniej z Balami w ogólności i ze Stanisławem, którego się odtąd lekano jak ognia. Stary Bal mógł jeździć, gawędzić, przyjmować i zeszlachecił się i zwiędniaczył zupełnie tak, że gdy opalonego i ubranego po wołyńsku nie poznawali starzy przyjaciele warszawscy, nadzwyczaj był z tego szczęśliwy. Zajmował

go domek w Hoczwi, ogród, który zasadzał, ulepszenia, które robił w majątku, gospodarstwo, nawet plotki powiatowe.

Zimową porą przejeżdżał się do Warszawy, gdzie zwykle zabawiał do wiosny, i już, grzęznąc, po drodze na pierwsze pączki zielone do swej pustelni powracał. Byłby z niej może tęskniąc za żoną, częściej się wyrywał, gdyby drugiego roku po osiedleniu w Zakalu pani Balowa nie pożegnała się ze światem, przez który przeszła tak cicho, jak przechodzą anieli, że ich nie widać i nie słysząc.

Ta strata bolesna zmieniła bardzo i zestarzała pana Erazma, który coraz większego wstępu nabierał do miasta i już się tam prawie nie pokazywał. Cała jego zabawa było wózkim jednokonnym na obiad i wieczór pojechać do Zakala, by się nacieszyć synową ukochaną, wnukami i posprzeczać ze Stanisławem, bo z nim o każdy kolek w płocie sporzył, chcąc zawsze sam kierować wszystkim, co się działo w Zakalu.

Raz w rok Strumiszowie także przyjeżdżali na wieś odwiedzić ojca i Stanisławów, wioząc z sobą innóstwo fraszek tych, które wymyślało miasto, a które są taką na wsi pociechą i zabawką. Wkrótce z Warszawy poczęły przyjeżdżać wnuki, które przy opalonych chłopcach Stanisławowych dziwnie się paniczkowato wydawały.

Parciński pozostał przy Stanisławie, i pierwszy raz w życiu powiodło mu się być poznanym, ocenionym, pozyskać przywiązanie. Nie sprzedał on domku matki, bo ten był dla niego pamiątką, ale w nim nie mieszkał zarządzając Zakalańszczyzną z tą gorliwością, którą tylko przyjaźń natchnąć może.

Pan Teofil Zmora ożenił się, niestety, z podsędkówną, ale to było małżeństwo niedobre i oset a kwasy wydało tylko.

Ożeniwszy się jakby tylko tego czekał, pan Teofil począł się szybko starzeć, posiwiał zmarszczek dostał, opuścił się; a że żonę miał młodą, nie w smak to było dla niej, zwłaszcza, gdy coraz w domu uparciej zamykać się chciał wraz z nią.

Państwo Hurkotowie wydali wkrótce i drugą córkę, ale kto by się spodziewał! Za Hubkę! Zmusił ich do tego brak zupełny młodzieży i niemożność dania posagu. Zmora ogromnie był temu przeciwny, pracował, żeby to nie doszło do skutku, i nie nie potrafił. Tyle tylko dokażał, że ani sam nie był na weselu, ani żonie być nie pozwolił.

Panny hrabianki Sulimowskie dotąd są jeszcze do wzięcia i mieszkała w pałacu coraz gorzej opadającym z tynków i dachu, ale Bóg łaskaw, ktoś i po nie przyjdzie, może — z daleka!

Nie wiem zresztą czyj by los jeszcze mógł czytelników obchodzić? Chciałbym bowiem tak daleko ich z sobą zaprowadziwszy, dogodzić przynajmniej na końcu wszystkim ich wymaganiom; ale zdaje mi się, żeśmy nikogo nie porzucili w drodze. Zresztą wyobraźmy sobie, że nie wzmiątkowani wszyscy poumierali co jest niezmiernie prawdopodobne bo to każdego spotkać może: za ich więc dusze proszę o wieczny odpoczynek.

K O N I E C

Rozrywki umysłowe

Przeczytajcie dzieciom...

WŁADYSŁAWA PASZKOWSKA Podarki wigilijne

Proszy śnieżek, proszy,
przysypał las, łączki,
mudza się po trosze
dwa małe zajaczki.
Proszy śnieżek, proszy,
przysypał ganeczek,
mówi Zajaczkowa:
słyszycie dzwoneczek?
Ach, to Pan Listonosz!
Ach, Pan Gronostajski!
A czy jest coś dla nas?
Są jabłuszka rajskie,
ciocia Krecikowa
przysyła zabawki,
i czapeczki dwie włóczkowe,
i dwa zarekawki,
babcia Swistakowa
narty i szaliki,
a wujaszek Misio
na drzewko pierniki!
Niechże pan odpocznie!
prosi zajaczkowa
świeżutka strucleka
jest właśnie gotowa!
Niechże pan odpocznie!
proszą dwa zajaczki:
przecież śnieg zasypał
las pola i łączki!

JANINA WAZŁOWA Moja szopka

Pod choinką stoi szopka,
— skiełtem ją sam —
w szopce leży na sianeczku
mały Chrystus Pan.
Sirzeże Go stareńki Józef
i Paniątka Święta,
ogrzewają swym oddechem —
bieluśkie jagnięta.
Pastuszkowie kolorowi
i barwne pasterki —
do stajenki poznosili
masło, młód i serki.
Przed Jezusem malusieńkim
kłęczą wszyscy rzedem —
z różowymj aniołkami
śpiwają koledy.

Dzisiaj do mojej szopki
przyjechali Trzej Królowie —
mirre, złoto i kadzidło
niosąc w darze Jezusowi.
Purpurowe mają szaty
i królewskie godła,
a do szopki pod choinkę —
gwiazdka ich przywiodła.
Teraz kłęczą z pasterkami
i śpiwają razem z nimi
jedną pieśń i jedno słowa —
choć z obcej są krainy...

Tak wygląda moja szopka,
która sobie okiełtem...
Toteż nieraz mi się zdaje,
że w niej — wszystko jest praw-
dziwe...

ZOFIA BRONIKOWSKA

Nowy Rok

Przygurbiony, siwy
drepcze Stary Rok —
kijem się podpięra
przystaje co krok...
— Co to dzisiaj mamy —
grudzień — czy listopad?
Niedobrze się czuję —
całkiem z sił już opadł...
Zbolały mnie nogi —
ide, jak po grudzie...
— Toż to nie dziwota!
Dzisiaj kończy się grudzień...
..A., a., która godzina?
Dobrze idzie zegar?
— Duża wskazóweczka
do małej dobiega...
— No, to się zabieram...
Bywajcie mi zdrowi!
Nowy Rok się zbliża...
Słyszycie, jak dzwoni...!
Zajechał kuligiem
w nastu miesięcy —
jeszyli się wszyscy,
on sam — najwięcej!!



2. ZADANIE ORTOGRAFICZNE (ul. E. Matwiejczuk)

Do czternastu niżej zamieszczonych wyrazów wkładaj się błędy ortograficzne, mianowicie w każdym wyrazie znajdują się dwie litery niewłaściwe. Przy pomocy podanych znaczeń odczytaj właściwe wyrazy, „wyłapując” w ten sposób litery niewłaściwe, które w połączeniu z literami właściwymi (każda litera niewłaściwa z odpowiadającą jej literą właściwą) wraz z brakującymi literami ostatniego zdania, dadzą rozwiązanie.

- Kppnca — kaptur mniszy; Mimrsa — osoba bardzo wrażliwa (przen.); Kwpa — choroba; Kkeów — miasto w Rosji Sowieckiej; Kaóa — waga opakowania towaru; Aeieta — moneta hiszpańska; Uuecie — miasteczko w powiecie chodzieskim; Ellica — imię żeńskie; Mlnwnit — materiał wybuchowy; Eeson — pewność siebie; Yaraí — ryba; Awic — zawiadomienie; Neo — konkurent języka Esperanto; Epzqa — poezja opowiadająca o dawnych czynach; t... a widuj.

3. DIABELSKIE ZADANIE (nadesłał Z. Piwowarczyk)

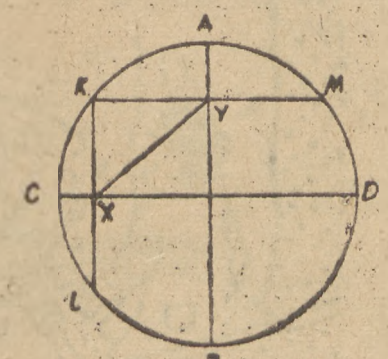
Mówi raz czarł do zebrałca:
„Niech umowa stanie taka,
Gdy przebiegniesz przez most cały,
Zdwoję twoje kapitały.
Żądam tylko byś w nagrodę,
Po ósm groszy rzucił w wodę”.
Zebrał chętnie przez most leci,
Raz i drugi, nawet trzeci.
Tu dopiero spostrzegł: „Zdrada!”
Ani grosza nie posiada.
Teraz prędko rachuj, mały,
Jakie dział miał kapitały!
Ile musi conajmniej posiadać zebrał,
żeby nie stracił swych kapitałów?

4. DANCING

Panowie Antoni, Bolesław, Czesław, Donat i Edward wybrali się na dancing. Przy stworzeniu kółeczka w walczki okazało się, że na prawo od Bolka była Regina, a na lewo Romana. Donat po prawej stronie miał Renatę, a po lewej Różę. Rozalia natomiast znajdowała się pomiędzy Cześkiem po lewej a Antkiem po prawej. Antek pochylił się po przez swą tancerkę do Bolka i powiedział: „Patrz, żaden z nas nie trzyma ręki swej żony.”

Jak nazywały się żony tych panów, jeżeli wiadomo, że imiona żon Antka i Bolka nie zawierają liter „N”, a imiona żon Cześka i Edka nie zawierają liter „O”?

5. LATAWIEC



Miał Kazio budował szkielet latawca, a tata przyszedł popatrzeć jak mu idzie. Kazio wytłumaczył, że ponieważ to miał być duży latawiec, odpowiednik superfortec amerykańskich, więc trzeba było dodać do normalnego szkieletu jeszcze

parę „szczegółów konstrukcyjnych”. Wziął więc Kazio obręcz z beczki, wbudował dwa główne żeberka AB i CD, oraz dla wzmocnienia dodał żeberka KL i KM. Jednak te ostatnie nie trzymały się dobrze, więc wzmocnił je pięćdziesięciocentymetrową podpórką XY. „Patrz tatusiu, to będzie duży latawiec, bo od miejsca skrzyżowania głównego żebra z poprzecznym do końca głównego żebra jest 30 centymetrów (na rysunku „A-Y”). Ty lubisz liczyć, policz jaka jest średnica obręczy!”

Ojciec siedział długo w nocy, kiedy Kazio dawno już śmacznie spał. Musiał biedak chodzić z latarką elektryczną i miarką do szopy.

Czy potraficie to zrobić bez miarki?

Za bezbłędne rozwiązania powyższych zadań, nadesłane w terminie do dnia 18 stycznia 1947 roku, Redakcja przewiduje do rozlosowania trzy nagrody książkowe.

Rozwiązania zadań

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z NR. 31.

1. Rebus: Wielka czwórka obraduje.
2. Zadanie matemat.: $Zł\ 571428.$
 $3(200.000 + X) = 10X + 2$
 $X = 85.714$
Kwota po poprawce zł 857142
„ przed popr. zł 285714 $\times 3 = 857142$

Różnica stanowiąca pokryty niedobór zł 571428

3. Szarada: Danina Narodowa.
4. Zona mi przepadła: Natrafiłem na ślad twej żony wkrótce wróci.

Z odpowiedzi na zadanie „Zona mi przepadła”, zorientowaliśmy się, który z naszych czytelników czuje się dobrze w pozycium małżeńskim.

Musimy przyznać, że z przyjemnością i radością ustaliliśmy ilość niezadowolonych, czyli smucących się z powrotu żony, na 5%.

A przy bliższej analizie znaleźliśmy również wypadki, że Panie się z tego smuciły. To chyba już tylko „potwór o zielonych oczach”!

Wiele osób, widać kawalerów, zrezygnowało nawet z odpowiedzi na to pytanie, nie czując się na siłach.

Proszę się nie martwić, pytanie było retoryczne!

Musimy w tym miejscu stwierdzić, że za podstawę szafry wzięto alfabet polski, a więc nie uwzględniono liter „q”, „v” i „x”.

5. Rowery: Wyplacone przez Alfreda zł 4800 stanowi 80% sumy, którą zapłacił Zdzisł. Zdziś zapłacił 4800×100

$$\frac{80}{100} = 6.000\ \text{zł, co stanowi } 133\ (3)\% \text{ sumy, którą zapłacił Konrad. Zatem Konrad zapłacił } \frac{6.000 \times 100}{133, (3)} = 4.500\ \text{zł.}$$

$$\text{co stanowi } 90\% \text{ sumy, którą zapłacił Bernard t. zn. } \frac{4.500 \times 100}{90} = 5.000\ \text{zł.}$$

$$\text{A ponieważ Alfred, otrzymując } 5.000\ \text{zł, zyskał } 25\%, \text{ to } 5.000\ \text{zł} = 125\% \text{ pierwotnej ceny kupna, która wynosiła } \frac{5.000 \times 100}{125} = 4.000\ \text{zł.}$$

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z NR. 32.

1. WIRO-KRZYŻÓWKA

Wiry: 1. Traviata, 2. Paganini, 3. Diogenes, 12. Labrador, 13. Antonina, 14. kondycja, 21. przemysł, 22. retoryka, 23. Antygena.

Plonowo: 5. Rola Żymierski, 7. reprezentacja, 8. agawa, 9. Ilmen, 10. Nisko, 17. Didur, 18. Indie, 19. Cygan. Poziomo: 4. Verdi, 6. adres, 11. kalambury, 15. rumba, 16. opera, 20. przedsmak, 24. egida, 25. Orawa.

2. REBUS

„Walka z głodem powinna być naczelnym zadaniem i wyrazem solidarności międzynarodowej państw sprzymierzonych”.

3. „3717”

X, Y są cyframi lat ojca. A, B cyfry lat wujka, B, A cyfry lat Jasia. Różnica lat wujka i Jasia:

$$(10X + B) - (10B + A) = 9(A - B)$$

$$\text{Iloczyn lat ojca przez różnicę } (10X + Y) \times 9(A - B) = 3717$$

$$(10X + Y) \times (A - B) = 413 = 59 \times 7$$

$$10X + Y = 59, A - B = 7$$

Możliwości: A = 9 B = 2
A = 8 B = 1

Lecz 82 jest niemożliwe, gdyż wiek ojca zawiera cyfrę 9.

Wobec tego: wujek ma 81 lat, Jasia ma 18 lat, ojciec 59 lat.

4. ZAGADNIENIE ABSTYNETENCKIE

P — ogólna ilość mieszkańców w Dolinie
4 T — ilość abstynentów w Dolinie

$$\frac{P}{42} + \frac{P}{60} + \frac{P}{63} = 3T$$

$$71P = 3780T$$

Załóżmy, że P = 3780 n
T = 71 n.

gdzie n jest liczbą całkowitą. Ponieważ Wólka (trzecia co do ilości mieszkańców i posiadająca 1/4 całości) ma poniżej 1000 mieszkańców, to P < 4000, czyli n = 1.

Zatem T = 71, P = 3780.

Całkowita ilość abstynentów wynosi 4T = 284.

5. PODWÓJNY ARYTMOGRAF

- 1—C 5—A 9—S 13—G 17—U 21—O
- 2—F 6—R 10—Z 14—I 18—T 22—P
- 3—D 7—O 11—E 15—W 19—H
- 4—K 8—N 12—B 16—L 20—Y

- A. Idem, B. Mlecz, C. Zacier, D. Rufa, E. Akerman, F. Notturmo, G. Osobnik, H. Katechizm, I. Mysikrólik, K. Kapelmistrz.

- A. 4 litery (4—K) F 8 liter (8—N)
- B. 5 liter (5—A) G. 7 liter (7—O)
- C. 6 liter (6—R) H. 9 liter (9—S)
- D. 4 litery (4—K) I. 10 liter (10—Z)
- E. 7 liter (7—O) K. 11 liter (11—E)

„KARKONOSZE”

14. W sprawie największej liczby napisanej 3 cyframi, pragnę i ja zabrać głos:

Otóż twierdzą, że taką możliwie największą liczbą i to przy użyciu tylko 1 znaku działania (tj. dzielenia) jest liczba w postaci ułamka 10/0. (Może być również dobrze 12/0, albo 99/0). Zaznaczam jednak, że tutaj mianownik nie jest bezwzględny — zerem, przedstawia tylko liczbę tak małą, że nie istnieje w ogóle żadna taka inna liczba, która by była od niej mniejsza, a równocześnie większa od właściwego zera, jest więc tak mała, że jej wartość można śmiało porównać z zerem.

Jestem z wielkim respektem dla imponującej liczby P. Kanenberga, o której tak zajmująco napisał P. Mgr Ziembra. Uważam jednak, że liczbę Kanenberga jest mimo wszystko przecięż ograniczona i jako taka musi ustąpić ułamkowi 10/0, którego wartość przyjęto oznaczać symbolem ∞, tj. liczby nieskończenie wielkiej, ale jednak liczby. Urzędnik akc w Bielsku

15 a) największą liczbą 3-cyfrową napisaną bez pomocy dodatkowych znaków jest: $\binom{9}{9} = 9$

Liczba ta jest właściwym rozwiązaniem naszego zagadnienia (możemy bowiem wprowadzić dodatkowe znaki pierskie na oznaczenie pewnych działań matematycznych, np. możemy się u-

mówić, że $x = x$ itd. Rozumowanie takie nie ma jednak najmniejszego sensu.

b) Przy wprowadzeniu pojęcia silni, największą liczbą 3-cyfrową jest liczba: $\binom{9!}{9!} = 362880$

Nie ma natomiast racji p. Stanisław Kochanowicz (Sosnowiec), ani p. Roman Teyseyre (ucz. II lic.) twierdząc, że największą liczbą 3-cyfrową jest liczba 99!

Łatwo tego dowieść: zarówno liczba przeze mnie podawana, jak i liczba podana przez wyżej wspomnianych i uznana przez nich za największą liczbę 3-cyfrową, mają tę samą zasadę (9!), a różne wykładniki. Otóż: 99! jest liczbą 156 - cyfrową natomiast 9! jest liczbą 2032128 - cyfrową! Nie ma również

racji p. Piwowarczyk (Solice-Zdrój). Liczba przez niego podana: 999! jest 99! większa od 9! ale dużo (9!) mniejsza od 9!

Jan Bandrowski
student Politechniki Śląskiej

Rozwiązania nadesłali

DOBRE ROZWIĄZANIA Z NUMERU 31 NADESŁALI:

- Będzin: L. Balcerowski, Bielsko: A. Wożytylak, Bierutów: B. Moczko, Brzeziny: S. Kwapiński, Bytom: T. Lubanśka, J. Jazwiński, Chorzów: H. Stanienda, J. Kaniut, C. Jantos, M. Szelizanka, J. Waloszek, L. Gorol, A. Włoczęwska, T. Meglicz, H. Wojnarowicz, Chwałowice: K. Miczajka, Częstochowa: T. Karwiński, Z. Przesiański, K. Sypuła, Dąbrowa Górnicza: J. Bielak, Dalezice: H. Sobolowa, Gdynia: A. Kizka, Gliwice: W. Udziela, S. Dziurdziński, H. i E. Konwiński, E. Griglik, M. Głuszczyński, T. Bachman, „Kal”, M. Pokizak, W. Murzynowski, W. Kulak, K. Wiczorek, Głuszyca: J. Wolsendorf, Golezów: C. Lewicka, Jarosław: B. Nowosad, Jelenia Góra: B. Gutowska, Kąlepy: R. Mazur, Katowice: W. Wroczyńska, Z. Czapliski, A. Peretjatkowicz, J. Ronikier, „Pejot”, J. Wituski, Z. Święciński, Ł. Morawska, Kluczborek: Z. Durzyński, Kłodzko: J. Lipczyński, J. Lipczyński, J. Sienkowska, T. Adamiecki, Kraków: Z. Koza, Z. Kapa, Lubanśka: R. Maszkowski, T. Pawłety, Łowkowiec: Z. Dzieciolowski, Mikulczyce: A. Czerwonka, F. Miedziński, Myslowice: K. Sołtykowski, Niedobczyce: S. Niementowski, Opole: J. Waga, Ostrów: W. Sikora, Paczków: S. Cichowski, Piotrków: F. Lukasiak, J. Rogoziński, Piotrowice: B. Presslerowa, Poznań: K. Marmurska, Zbigniew Bernard, L. Moszyk, W. Kocłaczowa, Rybnik: W. Dziubanka, J. Mainka, Siemianowice: M. Olszewski, A. Urbaniczak, Skalka k. Nysy: L. Burczyk, Sosnowiec: J. Misiewicz, A. Karzmarczyk, J. Dobrek, M. Sekular, Swidnica: E. Parnicka, Świętochłowice: K. Klauziński, T. Kubiczek, L. Krausówna, M. Otrząsek, Szombierki: A. Świtlicki, Szopienice: A. Słubicka, W. Kuleszo, T. Czachorowski, Tarnowskie G.: „Reks”, Z. Łabecki, J. Garus, Wajbrzych: S. Chlebiński, J. Kozakiewicz, J. Dzik-Pintel, Wrocław: S. Pomorski, H. O. Grodnik, A. Sokół, W. Klusiewicz, E. Zerebecki, T. Wasserstrom, J. Krakowian, Zabrze: Z. Denkowski, B. Heilpern, F. Skarbek, M. Romer, W. Gliki, R. Poznański, Z. Todorowa, Ząbkowice S/Sl.: H. Lepszówna, H. Jeżewska, Zgorzelec: I. Ostromęcki, Żywiec: J. Jarzczeński.

W wyniku losowania nagrody otrzymali:

1. „Gwiazda Władysława Sikorskiego” — St. Strumpf — Wojtkiewicz — M. Moczko, Bierutów.
2. „Nowa Miłość” — Iwaszkiewicz — Marmurska Katarzyna — Poznań.
3. „W rozwalonym domu” — Dobraczyńskiego — B. Heilpern, Zabrze.

Nagrody wysyłamy pocztą.

DOBRE ROZWIĄZANIA Z N-RU 32 NADESŁALI:

- Bielsko: D. Niemcowa, Brzeziny: S. Kwapiński, Chorzów: A. Włoczęwska, Częstochowa: Z. Przesiański, Gliwice: „KAL”, W. Udziela, K. Wiczorek, Katowice: J. Ronikier, W. Raciborska, J. B. Denny, Kraków: Z. Koza, Szopienice: W. Kuleszo, Szombierki: M. Przytułska, Świętochłowice: I. Kubiczek, L. Krausówna, K. Klauziński, Tarnowskie Góry: J. Garus, Wajbrzych: J. Mészáros, J. Kozakiewicz, S. Chlebiński.

W wyniku losowania nagrody otrzymali:

1. S. Chlebiński — „Gwiazda W. Sikorskiego S. S. Wojtkiewicz;
2. „KAL” — „Z kraju milczenia” — Z. Krowskiego;
3. S. Kwapiński — „Dywizjon 303” — A. Fiedlera.

Nagrody wysyłamy pocztą.

Odpowiedzi redakcji

Z. Jagielski. Przyjmujemy w każdej formie. Adresować prosimy do Redakcji. Rozwiązanie dobre.

E. Matwiejczuk. Oczywiście, że tak. Skąd te wątpliwości?

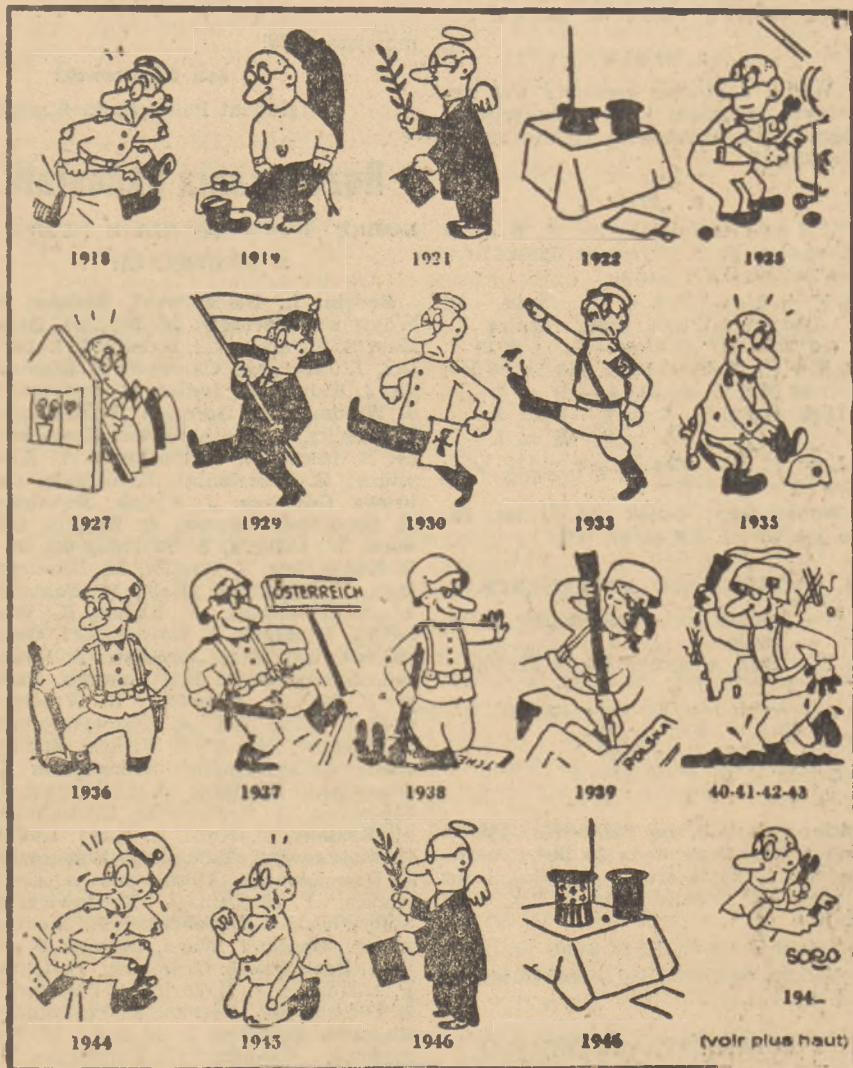
J. Garus. Dziękujemy za list i prosimy o jeszcze.

E. Gryglik. Prosimy bardzo nadsyłać honorowo.

W następnym numerze podamy dalszy ciąg dyskusji nad największą liczbą napisaną 3 cyframi.

Świat się śmieje

BO TO SIĘ ZWYKLE TAK ZACZYNA...



(„Action”)

W KAWIARNI

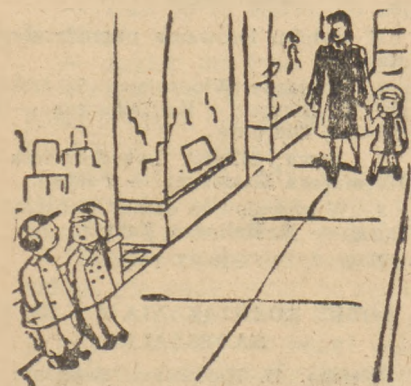
— Przepraszam, czy pan czyta tę gazetę, na której pan siedzi?

ZACHŁANNY GOŚĆ

— Proszę jaśnie pana, tam jakiś pan chce z jaśnie panem mówić...
— Powiedz mu, żeby zajął fotel w saloniku, ja zaraz przyjdę.
— On mówi, że chce zająć wszystkie fotele...

*
Czas to pieniąż... hm! ale wierzy-ciele nie chcą w to uwierzyć!

DON JUAN



— Popatrz, to ta z prawej strony, która zawsze robi do mnie oko... („New Yorker”)

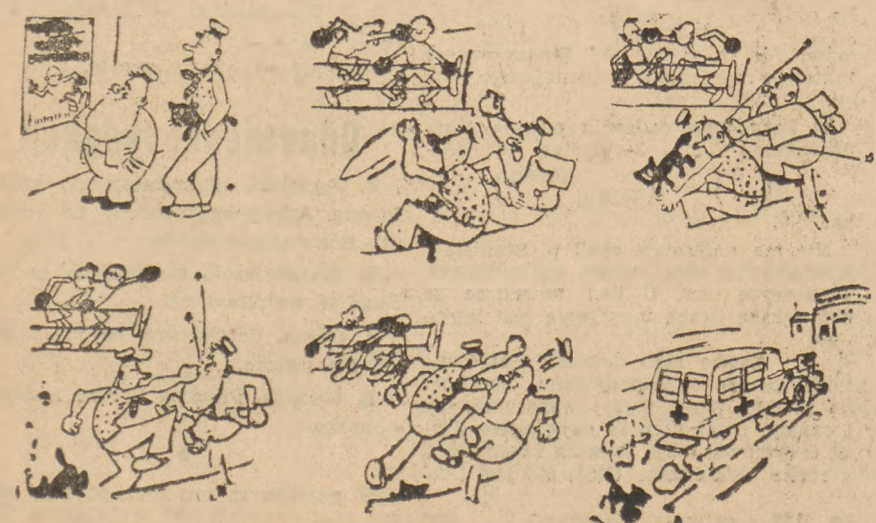
TO PRZECIEŻ JASNE

Profesor zapytuje uczennice liceum:
— Może panna Zosia powie nam co to jest esteta?

Cisza.
— No, co to jest estetyka?
— Nauka o pięknie.
— Doskonale. Wobec tego esteta będzie...?
— Piękny nauczyciel... — odpowiada zapłonią panna Zosia.

NA MECZU BOKSERSKIM

(„Sondagnisse”)



OKRYCIE



— Popatrz, jak ten pan sobie wszystko praktycznie urządził...
— Dlaczego?
— Od razu sobie sprawił szrotkę do czyszczenia tej rury...

U HANDLARZA

— Ten wspaniały obraz przypisywany jest Rafaelowi...
— Czy to kopia?
— Nie wiem. Ale nabywca tego obrazu to będzie napewno oryginał.

OBURZAJĄCE

— Muszę ci powiedzieć, kochanie, że ten placek, który upiekłaś jest bardzo ładny, ale do jedzenia się nie nadaje.
— Bo też wy, mężczyźni, musicie myśleć tylko o żołądku!

U FRYZJERA

Gość: — Czemu ten pański pies tak mi się przygląda?

Fryzjer: — Ach to nic! On tylko czeka na skrawek ucha, jak mi się brzytwa ześlizgnie.

Z CYKLU „NASZE DZIECI”

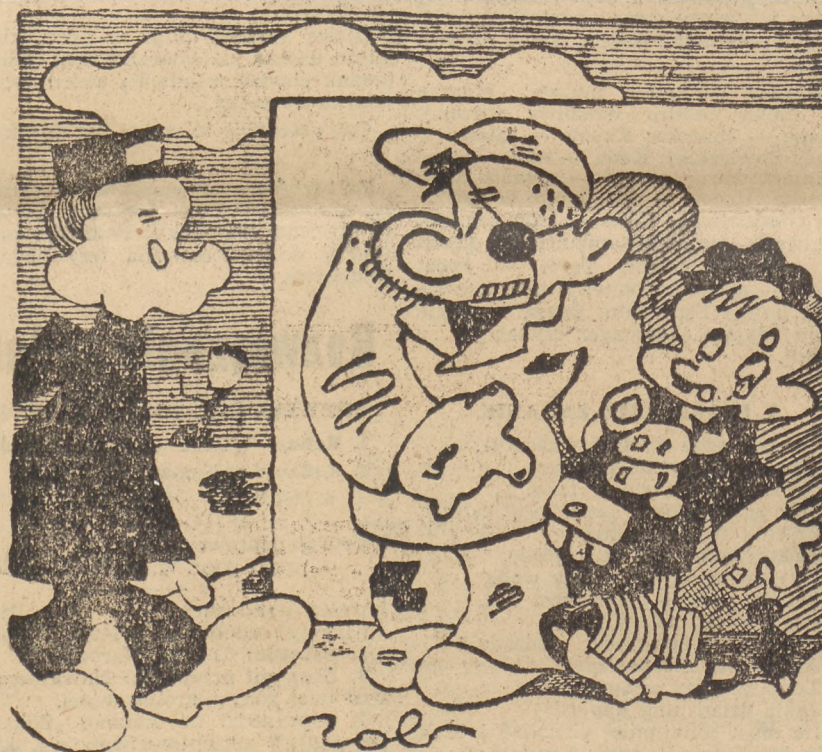
Sześcioletni Wojtuś w towarzystwie siedmioletniej Basi wypytuje babcię:
— Babciu... A skąd ja się wziąłem?
— Bocian cię przyniósł...
— A Basia skąd się wzięła?
— Też ją bocian przyniósł.
Wojtuś odciąga Basię na bok:
— Jak myślisz... czy nie czasby był babcię uświadomić?

OFIARA KRÓTKOWIDZTWA



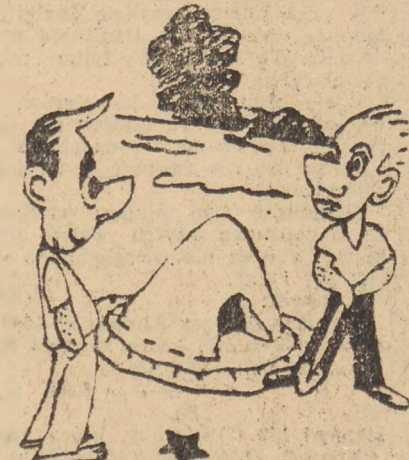
— Idiota! Przez niego musiałem przyjść na świat przedwcześnie!
(„Ici Paris”)

NIEWINIĄTKO



— Panie policjancie, ten pan mnie właśnie napadł!
(„Ici Paris”)

W DOBIE KRZYSIU MIESZKANIOWEGO



— Cóż to, pan dorosły człowiek, a bawi się stawianiem jakichś domków z piasku?
— Nie, ja tylko próbuję, czy w takiej budowli nie dałoby się jednak mieszkać... („Carrefour”)

TO SIĘ PANOWIE MYLIŁA...

Inżynierowie budujący kolej, wykreślają plany. Naczelny inżynier wchodzi do gospodarza i komunikuje mu, że kolej będzie przechodzić właśnie przez jego dom.

— Ano... wola Boska! Niech se przechodzi... Ino kiej panowie myśliła, że ja, albo moja kobita będziemy ciągiem drzwi otwierać, to się myliła...

TAK WŁAŚCIWIE JEST...

— Stasiu! Czemu ciągniesz kota na ogon!?

— Ależ ja go tylko trzymam, a kot sam ciągnie!

W KROPCE



— Jak to, panie policjancie, to pan nigdy nie słyszał o tych biednych bezdomnych, którzy sążną próbkę mieszkania?... („Ici Paris”)

„FLOTKI”



— Podobno wszyscy mówią, że oni są bliźniakami... („Paysage”)

U LEKARZA



— A kiedy pan zaczął odczuwać pierwsze objawy?
— Wtedy, panie doktorze, kiedy wstąpiłem do fabryki konserw gulaszu wędlowego jak probierca... („New Yorker”)

WYNALAZCA



— Popatrz, jaki małaś doskonały środek na wywabianie plam ze ścian!
(„Les Libres”)